sh 193-234

d Hoesick

Schyłek życia i śmierć Chopina

Tem. T. Jeng. T. – X. 1889

„Ateneum" – Warszawa

" A T E N E U M " Warszawa

Tom II
Zeszyt II
X. 1899.

F.HOESICK – Schyłek życia i śmierć Chopina.

str.193 - 234.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA WARSZAWA
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA WARSZAWA
185

Schyłek życia i śmierć

FRYDERYKA CHOPINA.

Odczyt publiczny, wygłoszony dwukrotnie d. 22 i 26 kwietnia 1899 r. w Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.

Gdy Chopin w marcu roku 1849, po całorocznym pobycie w Anglii, wrócił do Paryża, do swego dawnego mieszkania przy *Square d'Orléans*, ci, co go przez ten rok nie widzieli, doznali niezmiernie bolesnego wrażenia na jego widok. Jeszcze bledszy, niż wówczas, kiedy się wybierał do Londynu, zgarbiony, z pochyloną głową, co chwila zanoszący się od kaszlu, ledwo powłóczył nogami, a wyglądał tak mizernie, że jedni, jak Cypryan Norwid, przyrównywali go do jakiegoś arcydelikatnego owadu, którego należało dotykać się z największą ostrożnością, ażeby mu nie uszkodzić skrzydeł, drudzy zaś, jak ksiądz Jełowicki, nie mogli wyjść z podziwienia, że w tak stéraném ciele jeszcze się kołatała dusza. Słowacki nazywał go *moribundem*.

Tymczasem Chopin, choć prawie nie podnosił się z łóżka, nie tracił nadziei, a wierząc w geniusz swego domowego lekarza, doktora Molin, wcale nie był najgorszych myśli. Nieszczęście chciało tylko, że na razie nie mógł się powierzyć jego troskliwéj opiece, albowiem dr. Molin zachorował właśnie... Nagle rozeszła się wieść, że umarł, i wieść ta, lubo nieprawdopodobna, okazała się, niestety,

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA
185

prawdziwą! Dla Chopina był to może największy cios, na jaki być narażony w téj chwili. Wogóle sceptycznie usposobiony względem lekarzy i ich wiedzy, odrazu wpadł w pewien rodzaj zabobonnego zniechęcenia, a zwątpiwszy o możności odzyskania zdrowia (bo tylko jeden doktór Molin, jak mniemał, mógłby go wyprowadzić z téj choroby), tak dalece przestał wierzyć w skuteczność medycyny, że nietylko uległ prawdziwéj manii nieustannego zmieniania lekarzy, ale straciwszy wszelkie zaufanie do nich, nie słuchał ich rad, odrzucał lekarstwa, co, oczywiście, témbardziéj nie mogło sprowadzić upragnionego polepszenia. Oto np. co w téj mierze pisał raz do Grzymały: „Jestem mocniejszy, bom się podniósł i odrzucił lekarstwa, ale tak samo dyszę i kaszlę, tylko, że znoszę łatwiéj... Nie wiem, jakie siano będę jadł niedługo... Mój dr. Fraenkel ani się od niego dowiedzieć, czy gdzie do wód albo na południe jechać. Swoją tyzannę znów odjął, dał inne lekarstwo, znów go nie chcę, a jak się o hygienę pytam, powiada, że mi regularne życie niepotrzebne. Słowem do czubków głowa. Żart na stronę: dobry bardzo może konsultacyjny doktór, jak np. Koreff, ale *suite* w głowie nie ma". Nie wiele lepiéj trzymał i o doktorach Cruveiller i Louis, których także wzywał raz po raz, a po to najczęściéj, by nie stosować się do ich przepisów...

Nierównie większą wagę przywiązywał do tego, co mu doradzali jego przyjaciele i uczniowie, tacy, jak Gutmann, Franchomme, Delacroix, Pleyel, Clesinger, Norwid, Aleks. Czartoryski i wielu innych, którzy, odwiedzając go często, tak, iż prawie nigdy nie był sam, dokładali wszelkich możliwych starań ze swéj strony, ażeby nie miał powodu uskarżać się na obojętność ludzką, ażeby nie czuł się opuszczonym. To samo mógł powiedzieć i o swych uczennicach i wielbicielkach, które mu niemniéj dawały dowodów swojéj pamięci o nim. Prócz panny Stirling, umyślnie przybyłéj ze Szkocyi, by go doglądać i pielęgnować w chorobie, miewał częste odwiedziny księżnéj Adamowéj Czartoryskiéj, księżnéj Róży, księżnéj Marcelliny, hrabiny Delfiny Potockiéj, księżnéj Bauveau, hrabiny Obreskoff, baronowéj Rothschild, pani Franchomme, panny du Rozière, hrabianki O'Meara, panny Elizy Gavard, oraz wielu innych dam z wielkiego świata. Nadto odwiedzała go często młoda pani Clesinger, za którą tak mu było tęskno w Anglii, a któréj mógł teraz zarzucić chyba to jedno, że widząc ją, mimowoli musiał sobie przypominać jéj matkę... Otoczony tak dystyngowanemi aniołami opiekuńczemi, troszczącemi się o jego zdrowie, na wszystko mógł narzekać, tylko nie na brak opieki. Kto wié nawet, czy jéj nie miewał niekiedy zawiele,

zwłaszcza, odkąd przyjechała jeszcze i druga z jego dwóch „Szkotek", pani Erskine (siostra panny Stirling).

Tymczasem siły, jak nie wracały, tak nie wracały. Owszem, spostrzegał raczéj ich powolny lecz stały ubytek. Gdy się czuł lepiéj cokolwiek, to mógł — w najlepszym razie — przez pół dnia nie leżéć w łóżku. Wtedy téż, korzystając z pięknéj pogody wiosennéj, wyjeżdżał powozem do Lasku Bulońskiego na spacer, by trochę zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale bywały dnie, że nie wstawał wcale.

Czuł się tak osłabionym, że o tém, by znowu rozpocząć dawanie lekcyi, mowy być nie mogło na razie; a jakkolwiek mu trudno przychodziło pogodzić się z tą smutną koniecznością, to jednak pogodził się w końcu, bo co miał robić!... Okoliczność ta była powodem, że wziął się do pracy kompozytorskiéj: raz dlatego, by się rozerwać, by znaleźć zajęcie dla umysłu, a tém samém mniéj myśléć o swéj chorobie i niedoli, a powtóre, że należało troszczyć się o zarobek.

Cóż, kiedy i komponowanie szło mu jak z kamienia! Rozstrojony nerwowo, nie mógł się skupić dostatecznie, tak, iż co najwyżéj wykończał i poprawiał rzeczy pisane dawniéj. Na nowe zdobywał się z niesłychanym trudem, czém doprowadzany do rozpaczy, wszystko prawie, co pisał, darł i palił... Nie spalił tylko dwóch *Mazurków*, z których pierwszy, *G-moll*, wykończony i doskonały pod względem formy, a prześliczny jako melodya, należy do jego najwdzięczniejszych utworów w tym rodzaju, drugi zaś, *F-moll*, naszkicowany zaledwie, odznacza się tak rzewnym nastrojem, że brzmi, niby jakiś tęskny, bezbrzeżnie smutny śpiew ulatującéj duszy... *Mazurka* tego, który, jak się okazało, miał być jego śpiewem łabędzim, już nawet — dla braku sił — nie zdołał przegrać na fortepianie.

W tymże czasie wziął się do pisania szkoły na fortepian, którą w rozmowie z przyjaciółmi nazywał żartobliwie *Metodą nad metodami*. Z myślą napisania podobnego dzieła nosił się był już oddawna, tylko nigdy nie miał dość wolnéj głowy, by się do niego zabrać porządnie. Zamierzał w niém streścić wszystkie rezultaty swych długoletnich doświadczeń i studyów w zakresie gry fortepianowéj... Rzecz miała być napisana po francusku, gdyż chodziło o to, by mogła być sprzedaną któremukolwiek z nakładców paryskich. Początkowo, dopóki poprzestawał na obmyślaniu całości i szczegółów, pozwalając dojrzewać swemu pomysłowi, to jest dopóki go nosił w głowie, rozpowiadał wszystkim z gorączkowym zapałem, co będzie zawierała ta nadzwyczajna teorya, a nawet, naszkicowawszy jéj plan,

przystąpił do opracowywania niektórych poszczególnych rozdziałów, ale już po napisaniu kilku kartek musiał odłożyć pióro... Zbyt był wyczerpany [1]).

Wśród takich to smutnych okoliczności odwiedził go któregoś dnia świeżo przybyły z Rzymu ksiądz Aleksander Jełowicki, jeden z najczynniejszych Braci Zmartwychwstania Pańskiego. Dowiedziawszy się o bardzo ciężkiéj chorobie Chopina, nie zwłócząc, udał się do niego... Znając go oddawna (byli kolegami ze szkolnéj ławy), nie łudził się co do jego uczuć religijnych. „Pobożność, którą z łona matki Polki był wyssał, była mu już tylko rodzinném wspomnieniem, a bezbożność towarzyszów i towarzyszek lat ostatnich (szczególniéj pani Sand) coraz bardziéj wsiąkała w jego chwytny umysł, osiadając na duszy — jak chmurą ołowianą — zwątpieniem". Doszło do tego, że jeśli nie szydził jeszcze, ani naśmiewał się z rzeczy świętych, to działo się to tylko, zdaniem ks. Jełowickiego, „mocą jego wykwintnéj przyzwoitości". Wiedząc o tém, gorliwy kapłan powziął chęć nawrócenia swego genialnego przyjaciela, bo nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby człowiek téj miary, co Fryderyk Chopin, umarł jako niewierny syn kościoła, jako niedobry katolik. Z tym jasno sformułowanym zamiarem udał się na *Square d'Orléans*, gdzie przybywszy, odrazu dopuszczony do chorego, najserdeczniéj został powitany przezeń. Uściskali się wzajemnie, ile że nie widzieli się byli kawał czasu... Przypomniawszy sobie, że Jełowicki niedawno stracił brata, Edwarda, którego on także lubił niezmiernie, Chopin zaczął ubolewać nad jego tragiczną śmiercią (Edward Jełowicki zginął podczas wypadków r. 1848), przyczém rozczulił się do tego stopnia, że zaczął płakać. Rozigrane nerwy nie pozwalały mu panować nad wzruszeniem! Korzystając z tak sposobnéj chwili, pomny swéj misyi kapłańskiéj, ks. Jełowicki wszczął rozmowę o matce artysty, która go pierwsza uczyła zasad wiary, i w taki sposób rozwijał ten temat, że Chopin domyślił się wreszcie, o co tu chodziło.

— Ach! rozumiem cię! rzekł. Nie chciałbym umrzéć bez sakramentów, by nie zasmucić matki, ale ich przyjąć nie mogę, bo już ich nie rozumiem po twojemu. Pojąłbym jeszcze słodycz spowiedzi,

[1]) O dziele tém powiada zapytywany przez Niecksa Franchomme, że jeśli zeń wogóle coś istniało, to mogły to być conajwyżéj luźne fragmenty. Liszt utrzymuje, że i te fragmenty „rzucono w ogień wraz z resztą papierów". Niezależnie od tych dwóch wersyi krąży trzecia, że panna Janothówna zamierza w Anglii wydać dzieło o Chopinie, w którém ma się znaleźć podobno i owa *Metoda nad metodami*, „wydobyta z zapomnienia".

płynącą ze zwierzenia się przyjacielowi, ale spowiedzi, jako sakramentu, nie pojmuję zgoła. Jeśli chcesz, to dla twéj przyjaźni wyspowiadam się przed tobą, ale inaczéj to nie [1]).

Strapiony podobnem oświadczeniem, zaczął ksiądz Jełowicki— jak się wyraża — upieszczać, czem mógł, duszę przyjaciela, „już to Najświętszą Panną, już Panem Jezusem, już najtkliwszemi obrazami miłosierdzia Bożego," lecz nic nie pomagało: Chopin okazał się bardziej zatwardziałym w swej niewierze, niż o nim przypuszczał jego dawny towarzysz zabaw studenckich. Ani chciał słuchać o jakimkolwiek akcie religijnéj skruchy! Na obietnicę, iż gotów do niego przyjść spowiednik, jakiego tylko zapragnie, dał w sposób wcale niedwuznaczny do zrozumienia, iż przedewszystkiém życzy sobie położyć już koniec tej męczącej, a w gruncie rzeczy bezowocnej rozmowie, poczém przeciął jej wątek następującém bardzo stanowczém i kategoryczném oświadczeniem:

— Jeśli kiedy zechcę się wyspowiadać, to najpewniéj przed tobą.

W danéj chwili jednakże—pozostawiał gościowi swemu do domysłu—wolałby drażliwéj téj kwestyi nie poruszać dłużéj. Wszak mieli sobie tyle do powiedzenia po za nią! A zresztą, chociaż był chory, jeszcze nie zaraz wybierał się na tamten świat... Może jeszcze przyjdzie do siebie. Ileż to razy zdawało się już wszystkim i jemu samemu nawet, że życie jego wisi na włosku, a jednak nie urwało się jakoś; dlaczegożby więc ta choroba właśnie, wcale nie cięższa od poprzednich, miała być ostatnią!... Skończyło się tedy, iż ksiądz

[1]) Zob. *List księdza A. Jełowickiego do pani Ksawery Grocholskiéj o śmierci Chopina*, w *Tyg. Illustrowanym* z r. 1897. Może nie od rzeczy będzie zapoznać się na tém miejscu — choć w przypisku — z osobistością ks. Jełowickiego. Nadzwyczaj dzielny i przedsiębiorczy, jako człowiek, nie był to, zdaje się, zbyt pokorny sługa boży, a jego „znany charakter" odznaczał się niezawsze sympatycznemi cechami. Oto np. jak go w liście z d. 25 sierpnia 1846 r. pisanym do ks. Kajsiewicza, charakteryzuje ks. Hube: „Dotychczas przynajmniéj w bracie Aleksandrze nie widzę potrzebnego pokoju duszy i potrzebnéj pokory, aby jasno, prosto i bez przesady, rzeczy widział przed Panem Bogiem i zdrowe rady dawać mógł. Gwałtowność charakteru, wola własna silna nie złamana wewnątrz, chociaż na zewnątrz często ulegnie, a przytém ogólna polska choroba, pycha, stanowią, ile mi się zdaje, główne tło jego serca. Ztąd i gorliwość jego na zewnątrz nie dobrze zawsze umarkowana, ztąd niespokojne zawsze widzenie wspólnych słabości w braciach, nieukontentowanie z tego, co jest, i za zbyteczne pragnienie odmian i reform między nami. Ze względu na niego samego, dla dobra duszy jego, trzeba koniecznie ciągle pracować nad przełamaniem jego charakteru, aby pozbył się swej zbytniej ufności w trafność swego zdania, o czem dotychczas prawie nigdy nie wątpi." Ks. Paweł Smolikowski, *Hist. Zgrom. Zmartw. Pańsk.*, *III*, *211*.

wyszedł z niczém. Swoją drogą wychodził z silném postanowieniem, by nie dać za wygraną!

Tymczasem nastręczała się inna kwestya, którą po wolteryańsku usposobiony Chopin uważał za bardziéj palącą, niż wszystko, czém go „upieszczał" Jełowicki: oto szkatuła jego, z któréj dotąd czerpał nieustannie, a do któréj—wobec niemożności komponowania i dawania lekcyi — nie napływały nowe zasiłki, wypróżniała się stopniowo, aż wreszcie, jednego pięknego poranku, z niewielkiéj sumy pieniędzy, przywiezionych z Anglii, nie pozostało ani sous'a. Poczciwy Franchomme, na którego głowie spoczywała finansowa strona egzystencyi chorego, widząc pustki w kasie, nie znajdował innego sposobu położenia końca złemu, tylko naradzić się z przyjaciółmi Fryderyka, co czynić? Było prawdziwe *periculum in mora*, nakazujące w możliwie krótkim czasie postarać się o jakąś zapomogę, Chopin bowiem, spostrzegłszy, że jest bez grosza, coraz bardziéj denerwował się z tego powodu. Skończyło się na tém, że po naradzie — w tajemnicy przed Chopinem — zwrócono się do panny Stirling, ta zaś nie zawiodła pokładanego w niéj zaufania! Gdy się dowiedziała, że jéj ukochany mistrz znajduje się w tak kłopotliwém położeniu, natychmiast pospieszyła z hojnym datkiem 25000 franków. Chopin ociągał się z przyjęciem tak znacznéj sumy, po namyśle jednak, zniewolony smutnemi okolicznościami, z których na razie nie było innego wyjścia, zdecydował się na zatrzymanie połowy, mianowicie 12000 franków...

Tak upłynęły dwa miesiące. Kończył się maj. Choremu nie było lepiej. Na domiar złego, wybuchła w Paryżu cholera. Dusząc się wśród miejskiego pyłu i gorąca, a zbyt słaby, żeby módz gdzie wyjechać do wód, albo nad morze, artysta obrzydził sobie do reszty *Square d'Orléans*. Rwał się na świeże powietrze, czuł potrzebę wyjazdu na wieś: nigdzie tak nie przychodził do siebie, jak na wsi, nigdzie nie czuł się tak dobrze, jak np. w Nohant. Chociaż Nohant było wykluczone stanowczo, nie znaczyło to jednak, żeby nie miał zamieszkać gdzieś pod Paryżem, tak, jak np. mieszkał Bohdan Zaleski i inni. Chodziło o to przedewszystkiém, by się wydostać z miasta. Ponieważ doktorzy, gdy się im zwierzył z tym projektem, uznali jego słuszność, więc nie szło o nic więcej, tylko by gdzieś wynaleźć jakieś letnie mieszkanie. Dla kogoś, który, jak Chopin, posiadał tylu rzeczywiście oddanych mu przyjaciół, była ta kwestya dni kilku. Jakoż, zaledwie rozpoczął się czerwiec, już odpowiedni lokal został najęty. Znaleziono go przy *Rue Chaillot* pod Nr. 74, a choć nie posiadał może wszystkich danych, by w zupełności odpowiedzieć wymaganiom Chopina, to w każdym razie miał jedną zaletę w jego oczach: komorne, jak mu powiedziano, wynosiło tylko 200 franków na całe lato.

W rzeczywistości kosztowało to mieszkanie dwa razy tyle, a jeśli Chopin uderzony tą niepraktykowanie nizką ceną, zapłacił za nie tylko połowę, to dlatego, iż resztę wzięła na siebie hrabina Obreskoff [1]). Dopuszczono się tego niewinnego kłamstwa, by oszczędzić niepotrzebnych skrupułów choremu; od chwili bowiem, gdy musiał żyć nie za swoje zarobione przez siebie pieniądze, zaczął się ograniczać w wydatkach, a martwił się i gniewał, że mimo to, rozchody były znaczne...

II.

Ciągnąca się w pobliżu Pól Elizejskich *Rue Chaillot*, choć należała jeszcze do Paryża, to jednak, mało zaludniona podówczas, bardziéj robiła wrażenie cichéj uliczki jakiegoś prowincyonalnego miasteczka, aniżeli jednej z przedmiejskich ulic stolicy świata. Pełna zieleni ogrodów i ogródków, których drzewa wychylały się z za drewnianych lub murowanych oparkanień, niebrukowana a położona wysoko, słynęła ze swego widoku na Paryż, na Sekwanę, na Łuk tryumfalny, na złoconą kopułę Inwalidów, na nieprzejrzane morze wież kościelnych, kominów i dachów. Zdaniem Cypryana Norwida, był to jedyny punkt, „obfitujący w rozległe i malownicze panoramy, zbliżone do tych, jakie się napotyka w Rzymie".

Do domu, oznaczonego numerem 74, wchodziło się przez długi, pusty, trawą zarosły dziedziniec. Chopinowi bardzo się tu podobało wogóle. Zająwszy całe pierwsze piętro, składające się z paru pokojów i wielkiego salonu o trzech południowych oknach, miał dużo powietrza i słońca, a obsługiwany przez swego „poczciwego Daniela", już obznajmionego z jego wszystkiemi przyzwyczajeniami, i przez staranną bardzo *garde malade*, która przy nim czuwała we dnie i w nocy, posiadał wszelkie warunki sprzyjające rekonwales-

---

[1]) Na podstawie relacyi Franchomme'a, cyt. u Niecksa. Pani Rubio powiada, że komorne wynosiło 300 fr., z tych Chopin zapłacił tylko 100, a pozostałe 200 uiściła hr. Obreskoff. Dziwna rzecz, iż żadna z polskich pań nie wzięła tego wydatku na siebie, że gdy chodziło o odwiedzanie Chopina, to nie brakło żadnéj, ale gdy wypadło wspomódz chorego artystę materyalnie, pozostawiono to cudzoziemkom, pannie Stirling i hrabinie Obreskoff!...

cencyi. Co się tyczy owej „gardmalady“, którą zawdzięczał Grzymale, to była nią młoda Polka, osoba sympatyczna niezmiernie, jakaś krewna Wołowskich. Chopin polubił ją nadzwyczaj, a tak się przyzwyczaił do jej troskliwéj opieki i miłego towarzystwa, że kiedy, po upływie paru tygodni, zaproszona do krewnych swych na prowincyę, musiała go opuścić, niełatwo się z tém pogodził. Pozwala się tego domyślać następujący urywek z jego listu do Grzymały: „Piszę do Ciebie trzeci raz pod adresem pani Ludwiki od czasu jak jestem bez Twéj gardmalady. Nie wiem, co z nią zrobić, jak jéj podziękować. Nie chcę tam do niéj posyłać, bo tam ten opiekun jest, czy ktoś. Była tu powiedzieć, iż wyjeżdża, ale ktoś zaszedł, anim się mógł rozmówić, tak się wysunęła. Przysłała mi swoją kartę wizytową... Poczciwa i dobra, ale nie rozumiem téj karty. Mam nadzieję, że przed wyjazdem przyjdzie jeszcze. Jabym nie chciał tam posyłać, bo Deputowany (Wołowski) nic o mnie nie wié, i boję się jéj narobić niewinnych nieprzyjemności.“

Tymczasem, gdy wyjechała, wypadło się obejrzeć za kimś innym na jéj miejsce, albowiem chory potrzebował koniecznie mieć przy sobie jakąś rękę niewieścią, któraby go pielęgnowała, uprzedzała jego życzenia i zachcenia. A przytém lękał się samotności... W tém uczuciu pisał d. 18 czerwca do Grzymały: „Jestem także bez gardmalady 2-gi dzień. Księżna Czart(oryska Adamowa) odwiedziła mnie i nie chcąc, żebym sam był w nocy, przysyła mi panią Matuszewską, co u księżnéj Róży za niańkę była.“ Skończyło się na tém, że owa pani Matuszewska zaczęła przy nim pełnić obowiązki siostry miłosierdzia. Będąc osobą poczciwą niezmiernie, podbiła go sobie odrazu. Bardzo był z niej zadowolony... Conajwyżéj uśmiechał się niekiedy, widząc jéj głęboką a naiwną pobożność. „Pani Matuszewska mówi — pisał raz o swéj chorobie do Grzymały — że to przecie „Pan Jezus przemieni“ i możeby p l a s t e r z m i o d u i m ą c z k i pomógł.“

Równocześnie, z nastaniem letnich upałów, prawie wszyscy znajomi Chopina, których odwiedziny miewał tak często, dopóki mieszkał w mieście, rozjechali się w różne strony. W Paryżu, nawiedzonym przez zarazę, zostali ci tylko, co musieli. Oczywiście, że wskutek tego i na *Rue Chaillot* zajeżdżało pod Nr. 74 coraz mniéj ekwipażów. Ztąd poszło, że Chopinowi zaczynało się nudzić, że z nudów stał się skorszym do korespondowania z nieobecnymi przyjaciółmi, że listy jego, jak np. do Grzymały, stały się mniej lakoniczne. „Żal mi, pisał do niego d. 2 lipca, że Cię nie widzę, ale wolę, żeś na wsi teraz, jak tu, co tak nudno i nikogo niema. Wszyscy

wyjeżdżają: jedni ze strachu cholery, drudzy ze strachu rewolucyi. Panna du Rozière także ze strachu do Wersalu się wyniosła, ale już wróciła. Angielki w St. Germain. Pani Obreskoff także. Pani Potocka (Delfina) zawsze w Wersalu i pojedzie do Dièppe, gdzie (już bawi) pani Bauveau. Delacroix na wsi. Gutman w Londynie, incognito, jakżeby miał pieniądze do stracenia. Frenkiel już dwa tygodnie nie był... Cichowskiego raz tylko widziałem. Do miasta daleko, bo tylko albo ci, co mnie bardzo kochają, jak np. Franchomme, albo ci, co blisko mają ukochanych, jak np. księstwo (Aleksandrowstwo Czartoryscy) czasem nawiedzą.“ Swoją drogą nie brakło i takich, co umyślnie przyjeżdżali na *Rue Chaillot*. Któregoś dnia np. zajechała tu Jenny Lind... Gdy Chopin, rozczulony tym dowodem pamięci z jéj strony, między innemi wyraził życzenie, że chętnie posłuchałby jéj śpiewu, przyjechała do niego raz na cały wieczór i śpiewała mu wszystko, o co ją prosił... W tymże czasie miał wizytę innéj, niemniéj słynnéj śpiewaczki, pani Catalani (téj saméj, która mu w roku 1820 w Warszawie, zachwycona jego genialną grą, ofiarowała na pamiątkę złoty zegarek). Bawiła ona właśnie u niego, gdy przed dom zajechała pani baronowa Rothschild: wybierała się za parę dni za granicę, więc przybywała pożegnać się z Chopinem. Przy tej sposobności poznała się z panią Catalani, a przypatrując się słynnej śpiewaczce, nie przeczuwała z pewnością — jak nie przeczuwał nikt z obecnych — że rozmawiała z istotą, któréj godziny już były policzone. Nie upłynął tydzień od ich poznania się z sobą, a w liście Chopina do Grzymały, pisanym d. 18 czerwca, znalazł się taki ustęp: „Była pani Rothschild i już pojechała do Szwecyi przez Hamburg. Pani Catalani, z którą się tu ij poznała, w wigiliję jéj wyjazdu na cholerę umarła.“ Jakkolwiek w liście tym nie brakło wiadomości, że „choroba już w mieście ustaje,“ to jednak umierało od niéj wiele jeszcze osób, a nie brakło w téj liczbie i znajomych Chopina. „Kalkbrenner umarł, syn starego De la Roche'a [1]) w Wersalu umarł. Franchommowi służąca dobra bardzo umarła. W Tours d'Orléans [2]) nie było śmierci, tylko mały Etienne chorował śmiertelnie. W ten moment przyjechały Szkotki. Między nowinami mówiły o Noalcie (Duc de Noailles), że zdrowszy, na co ja, że król Ch. Albert w Lizbonie umarł. One mnie zaduszą nudami.“

---

[1]) Słynnego malarza.

[2]) Należy rozumieć dom przy Square d'Orléans, gdzie mieszkał Chopin. Mowa tu o synie pani Etienne, która prowadziła gospodarstwo Chopinowi.

Niestety, dusił się nietylko od ich nadmiernéj czułości. W ogóle, choć przebywał na świeżém powietrzu, wcale nie czuł się dobrze. Co najgorsza, to, że oprócz zwykłéj dotychczasowéj choroby przybyła nowa, objawiająca się puchnięciem nóg, dowód, że serce zaczynało działać nieprawidłowo... Chory jednak, choć ledwo mógł ustać o własnych siłach, nie tracił otuchy, co nie znaczy przecież, ażeby niekiedy nie przestawał się łudzić. „Krwią już od onegdaj nie pluję (pisał raz do Grzymały), nogi odpuchły. Tylko jeszcze słaby i leniwy jestem, łazić nie mogę, dyszę. A Twoje schody!!... Bądź zdrów, pilnuj się i nie daj się! Ja się też bronię, jak mogę, ale mi podobno siły zabraknie... Grać jeszcze nie zacząłem, komponować nie mogę. Nie wyjeżdżam. Tylko czasem do boru Bulońskiego".

Przygnębionemu i osamotnionemu zdarzały się i takie chwile, że się zaczynał przygotowywać do śmierci. Sporządził testament (do czego nie przyznał się nikomu), a jednocześnie zdecydował się napisać do domu, ażeby przyjechał kto z rodziny. „Mówił mi także Cichowski, pisał d. 2 lipca do Grzymały, że pani Plichcina do domu jedzie, że ci o tém napisał, jako téż, że moja siostra tu przyjeżdża, co wcale nie, bo ja dopiéro dziś pisać o tém do domu myślę..." Nieraz już namawiano go do tego, a księżna Marcellina sama mu nawet ofiarowała swe pośrednictwo w tym względzie [1]). Wahał się długo, odkładał sprawę tę z dnia na dzień (bo nie chciał niepokoić swych najbliższych), aż w końcu, widząc, że nie przychodzi do siebie, że mu życie ucieka, napisał, bo skoro już miał umierać na obczyźnie, to niechże przynajmniéj nie umiéra wśród obcych twarzy. Zawsze lękał się podobnéj śmierci. Już w roku 1830, na wyjezdném z Warszawy, dręczony przeczuciem, że już w te mury nigdy nie wróci, pisał do Wojciechowskiego: „A jak to przykro być musi umiérać gdzieindziéj, pomiędzy obcymi! Jak mi to okropnie będzie widzieć, zamiast rodziny, zimnego doktora lub najętego sługę przy łożu śmiertelném!"

Bardzo być może, iż sobie teraz list ów przypomniał, bo właśnie w tym czasie otrzymał kilka słów od Wojciechowskiego. Donosił mu Tytus, że przybył do Karlsbadu i że następnie po odbytéj kuracyi, mającéj trwać miesiąc przeszło, wybiera się do Ostendy. Gdyby się tam zjechać mogli, byłby niezmiernie szczęśliwy. Do Paryża, pomimo najszczerszych chęci i ciekawości poznania stolicy Francyi przyjechać nie może z powodu nieprzezwyciężonych trudności paszportowych... List ten był wielce miłą niespodzianką dla Chopina. Niestety, jeśli chodziło o zobaczenie się z Tytusem, (z którym nie widział się od owéj pamiętnéj chwili, gdy się rozstali w Wiedniu), to mogło ono nastąpić wtedy jedynie, gdyby Wojciechowskiemu udało się zawitać nad Sekwanę. O tém bowiem, ażeby on mógł pojechać do Ostendy, nie było mowy! Gdyby jednak wyjednano paszport dla Wojciechowskiego, umożliwiający mu przyjazd do Paryża, wtedy było pewném, że Tytus nie ociągałby się ani chwili z przybyciem tu choćby na kilka dni... Rozumiejąc, że to nie było niemożebném, zaczął Chopin czynić przez swych wpływowych przyjaciół odpowiednie starania w ambasadzie rosyjskiéj paryskiéj, tymczasem zaś, d. 20 sierpnia, odpisał Wojciechowskiemu, co następuje: „Mój Ty najdroższy! Trzeba, żebym był tak słaby, jak jestem, żebym się z Paryża ruszyć nie mógł, kiedy ty do Ostendy przyjeżdżasz. Ale mam nadzieję, że Pan Bóg tobie dozwoli zbliżyć się do mnie. Doktorzy żadnéj podróży mi nie pozwalają; piję w pokoju pirenejskie wody, a twoja obecność była by mi więcéj warta, niż wszystkie leki. Twój do zgonu Fryderyk." Po otrzymaniu tego listu, Wojciechowski czekał tylko dnia, w którym mu przyszlą z Paryża paszport, lecz, jak się okazało, w ambasadzie robiono wciąż nowe utrudnienia, tak, iż Chopin zniecierpliwiony, nie mogąc się doczekać stanowczej i przychylnej odpowiedzi, napisał w końcu Tytusowi, ażeby przyjeżdżał, nie oglądając się na nic... List jego, datowany d. 12 września, brzmiał, jak następuje: „Za małom czasu miał dla wystarania się o pozwolenie na twój przyjazd tutaj; sam chodzić za tém nie mogąc, prosiłem wpływ mającego jednego przyjaciela, żeby mię wyręczył; dopiéro w sobotę mam coś wiedzieć pewnego. Już chciałem do Valenciennes za granicę koleją żelazną puścić się, żeby Cię uściskać, ale temu parę dni do Ville d'Avraye pod Wersalem dojechać do mojéj chrzestnéj córki niepodobna mi było, i doktorzy nie pozwalają mi z Paryża wyjeżdżać. Dlatego na zimę do cieplejszego klimatu nawet nie puszczają. Moja wina, żem chory, bobym Cię był w Belgii gdzieś dojechał. Może téż potrafisz się tu dostać... Nie jestem dosyć egoistą, żebym Cię dla siebie samego żądał; będąc słabym, jak jestem, miałbyś parę godzin nudów i decepcyi, pomięszanych z kilkoma godzinami uciechy i poczciwego wspomnienia; a wolałbym, żeby czas, co razem spędzimy, był tylko czasem szczęścia zupełnego. Twój na zawsze Fryderyk." Skończyło się na tém, że się nie zobaczyli. Chopin był zbyt chory, żeby módz jechać do Belgii; Wojciechowskiego nie chciano puścić do Paryża. Jakoż musieli poprzestać na kilkakrotnéj wymianie listów...

[1]) St. Tarnowski, *Księżna Marcellina Czartoryska*, str. 261.

Tymczasem Chopinowi płynęły dni tak jednostajnie, iż chwilami przemyśliwał o powrocie do swego mieszkania paryskiego przy *Square d'Orléans*. Tam jednak — zdawało mu się — nie byłby tak odcięty od świata, jak tu, gdzie często miał wrażenie, że osiadł na wygnaniu. Bo przykrzyło mu się coraz bardziéj. Złamany nietylko fizycznie, ale i moralnie, nigdy np. nie czuł się tak dobrze, by do drugiego śniadania przynajmniéj nie był zmuszony leżeć w łóżku. Gdy wstał, gdy go służący ubrał, siadał przy otwartém oknie—o ile możności w słońcu — i oddychając świeżém powietrzem, czekał, czy kto nie przyjdzie. Nieraz zdarzało się, że wyczekiwał napróżno... Po śniadaniu, do którego często był zniewolony zasiadać sam (korzystając jedynie z towarzystwa pani Matuszewskiéj i służącego), zwykle wyjeżdżał na spacer. „Zstępował, jak mógł, po schodach, a wróciwszy, kazał się wnosić, bo w górę sam iść nie mógł, nawet na pierwsze piętro" [1]). Po powrocie z przejażdżki, około 5-éj jadał obiad, poczém, jeżeli nikt nie przyszedł, kazał się rozbiérać Danielowi i znowu kładł się do łóżka.

Do tych, którzy go odwiedzali najczęściéj, należał między innymi Cypryan Norwid, młody poeta i rysownik. Chopin lubił go dosyć, zapraszał na obiady i śniadania, a kiedy wyjeżdżali na spacer, składał z nim razem wizyty (o ile miał siły i ochotę po temu). Któregoś dnia np. odwiedzili Bohdana Zaleskiego, mieszkającego w Passy. Autor *Ducha od stepu* przyjął ich nadzwyczaj serdecznie, ale gdy Chopin wywlókł się z powozu, okazało się, że nie było nikogo, co by go mógł zanieść na górę do mieszkania. Wobec tego musiano pozostać w ogródku przed domem, „gdzie maleńki jeszcze wówczas synek poety na trawniku się bawił"...

Prócz Norwida należał także do stałych gości Chopina młody Karol Gavard, brat Elizy. Chory miał dlań wiele sympatyi, a zwłaszcza lubił słuchać jego czytania na głos. Gdy go męczyło mówienie, najchętniéj czas spędzał w ten sposób, na wspólnéj lekturze. Książek dostarczała jego podręczna biblioteka. Najczęściéj sam wybiérał dzieło, polskie lub francuskie, z którego wyjątków posłuchać pragnął. Gdy przychodził Gavard, prosił go zwykle, by mu czytał pojedyńcze rozdziały *Dykcyonarza filozoficznego* Voltaire'a, albowiem nadzwyczaj wysoko cenił doskonałą skończoność formy, zwięzłość i jasność stylu autora *Henryady*. Co dziwniejsza, że mu i estetyczne poglądy tego zeszłowiecznego „filozofa" trafiały do

[1]) Cypryan Norwid, *Czarne kwiaty*, Zob. Dodatek miesięczny do *Czasu* z r. 1856. Tom IV, str. 654.

przekonania, że gdy mu Gavard czytał np. wyjątki z rozdziału *Des différents gouts des peuples*, nic go w nich nie raziło. Dowód to, że i Chopin był nieodrodnym synem tego „nawpół-wolteryańskiego pokolenia Polaków", które, wychowane w obojętności i chłodzie na rzeczy wiary, szło przez życie „z Bogiem czy bez Boga", dla rozumu twórcy *Kandyda* żywiąc kult bezkrytyczny [1]). Dlatego to, gdy przychodził Gavard, autor romantycznych *Nokturnów* z takiém upodobaniem słuchał Voltaire'a...

Inaczéj bywało, gdy go odwiedził Gutmann. Wtedy muzykowali, t. j. Gutmann zasiadał do fortepianu, Chopin zaś, siedząc w fotelu, o ile nie leżał w łóżku, słuchał. Grywano przeważnie jego własne kompozycye, których Gutmann był świetnym interpretatorem, albo Mozarta. Rzadziéj Beethovena... Szkoda tylko, że Gutmann nawet i wtedy, gdy bawił w Paryżu, nie przychodził tak często, jakby sobie tego życzył Chopin. „Gutmanna z całém sercem (czytamy w jednym z listów do Grzymały) po 10-u dniach nie widziałem, ażem się zląkł, czy nie chory, ale mi pisał, że zdrów". W ostatnich słowach nie trudno dopatrzéć się lekkiéj ironii, Chopin bowiem, pisząc do Gutmanna, o którego obawiał się, czy nie zachorował, że się nie pokazywał tak długo, chciał go pewno skłonić tém samém do wybrania się na *Rue Chaillot*, nie zaś do listownéj odpowiedzi, że owszem cieszy się jaknajlepszém zdrowiem...

Powiada Karol Gavard, że największą troską Chopina, gdy go odwiedzali znajomi i przyjaciele, było to, by im o ile możności oszczędzić przykrych i bolesnych wrażeń; to téż nietylko unikał wszystkiego, co by ich mogło nastroić smutnie i minorowo, lecz się wysilał poprostu, żeby się nie nudzili. Niestety, nie zawsze był zdolny do świadczenia podobnych uprzejmości, gdyż nie zawsze miał dosyć sił po temu. Zdarzało się niejednokrotnie, że do tego stopnia był osłabiony, iż nawet głos mu zamierał w ustach. Wtedy, zamiast mówić, porozumiewał się na migi, co mu szczególniéj ułatwiał jego

[1]) X. Waleryan Kalinka. *Królestwo Kongresowe*. „Na nieszczęście, nasz patryotyzm ówczesny, dla wiary chłodny, obojętny, tém samém musiał być niewytrzymały, niedostateczny i w niepowodzeniu stać się niecierpliwym, rewolucyjnym. Wyjątkowa pobożność Skrzyneckiego była jednym z powodów jego niepopularności. *Z Bogiem czy bez Boga, byle na wroga!* śpiewano w armii i stolicy, a ta piosnka zostanie znakiem czasu"...

X. Aleksander Jełowicki tak pisze o wolnomyślności Chopina: „Miał on wielu d o b r y c h przyjaciół, a z ł y c h, to jest bez wiary, bardzo wielu; ci zwłaszcza byli jego czcicielami, a tryumfy jego w sztuce najwnikliwszéj zagłuszyły mu w sercu Ducha Świętego jęki niewypowiedziane".

niezwykły talent mimiczny... Gdy miał taki zły dzień, mniéj się troszczył o gości: milczący, przygnębiony, apatyczny, zamknięty w sobie, zdawał się być obojętnym na wszystko, nie stać o nic, tylko oddychał ciężko i z widocznym trudem, a raz po raz krztusił się gwałtownie. Gdy się czuł gorzéj, potrafił być nawet przykrym dla swego najbliższego otoczenia, zwłaszcza był podejrzliwy. Wprawdzie sobie zdawał sprawę z téj przywary, ale mimo to nie miał dość panowania nad swém chwilowém usposobieniem, ażeby je zmódz i przezwyciężyć [1]).

Tymczasem zdążyła przyjechać jego siostra, pani Jędrzejewiczowa. Przyjechała z mężem i z córką, a ujrzawszy Fryderyka, przekonała się, że niezbyt długo będzie potrzebował jéj pieczy. W każdym razie cieszył się niezmiernie, że przyjechali, że umierając, będzie miał kogoś ze swoich, co mu oczy zamknie...

Bo że się nie łudził nadzieją wyjścia z téj choroby, z tém już przestał się taić, zwłaszcza, że nie bał się śmierci. Owszem, z tego, co mówił o swym zbliżającym się zgonie, pozwalał wnosić, że go oczekiwał z pewnym rodzajem utęsknienia, nie bez pewnéj „gorzkiéj rozkoszy" [2]). Myśl rozstania się z życiem, pełném bolesnych wspomnień, a teraz szarpaném fizycznemi cierpieniami, nie budziła w nim chwilami wielkiego żalu. Mimo to nie zaniedbywał niczego, ażeby się ratować, ażeby możliwie opóźnić nieuniknioną katastrofę. To téż, jakkolwiek był zrezygnowany zupełnie, i to od dawna, stawał się coraz sumienniejszym w wypełnianiu zaleceń lekarskich, a kiedy doktorowie Cruveiller i Louis zaproponowali zwołanie konsylium, nalegał sam, by wezwano doktora Blache'a, najsławniejszego podówczas lekarza chorób dziecięcych.

— On mi najprędzéj pomoże, mówił, bo we mnie jest coś z dziecka [3]).

---

[1]) Oto np. jaki raz list napisał w tych czasach do Franchomme'a: „Drogi przyjacielu! Przyszléj mi nieco twego Bordeaux. Muszę dzić napić się trochę wina, a żadnego nie mam w domu. Stałem się tak podejrzliwym, że wolę, byś opakowawszy butelkę także ją i zalakował swoją pieczątką, bo ci posłańcy!!!" List ten, przytoczony przez Niecksa, pisany jest w oryginale po francusku.

[2]) Liszt. Chopin, str. 90: „Był przekonany, że lada dzień żyć przestanie. W téj myśli, całém sercem przyjmując troskliwość przyjaciela, starannie jednak ukrywał przed nim, jak dalece, zdaniem swojém, czas już niedługi korzystać z niéj będzie. Pod tym względem zdawał się mieć nawet wielką odwagę i jakbądź przekonania o blizkiéj śmierci nie zbywał młodzieńczą niedbałością, niemniéj z pewną gorzką rozkoszą czekał spełnienia swych przywidzeń".

[3]) St. Tarnowski, *Op. cit.* str. 42.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA W WARSZAWIE BIBLIOTEKA

Ale nie pomógł i doktór Blache. Zebrawszy się na naradę, lekarze orzekli ostatecznie, że niema ratunku: choroba rozwijała się i komplikowała coraz bardziéj. Oczywiście, że tego nie powiedzieli pacyentowi! Kazali mu tylko zmienić mieszkanie na zimę, to bowiem, które zajmował przy *Square d'Orléans*, nie było dość słoneczne. Chodziło o to, żeby się przeniósł do lokalu z oknami na południe.

Ta kwestya nowego mieszkania wpłynęła na Chopina w sposób całkiem nieprzewidziany: ogromnie się do niéj zapalił. Oddawna już — bo od chwili zerwania z panią Sand — chciał się wynieść ze „skweru", teraz więc, gdy na to nastawali sami lekarze, z prawdziwą przyjemnością myślał o téj przeprowadzce, przyczém, gdy o niéj była mowa, ożywiał się tak dalece, że nawet zapominał o opłakanym stanie, w jakim się znajdował. Jak gdyby miał jeszcze całe lata przed sobą, zaczął snuć coraz nowe plany, nie cofając się i przed bardzo dalekiemi, a wszystkie stały w bliższym lub dalszym związku z owém mieszkaniem... [1]) Gdy je znaleziono wreszcie, a wybór padł na ładny lokal przy *Place Vendôme Nr. 12*, w tym samym domu, w którym znajdowało się biuro Grzymały, nie mógł się doczekać chwili, gdy się pożegna z obrzydłą mu już *Rue Chaillot*... Podlegając tym charakterystycznym złudzeniom, które są tak właściwe suchotnikom na krótko przed śmiercią, nabiérał nowéj ochoty do życia i, jakgdyby mu to mieszkanie miało służyć na bardzo długo, zaczął je urządzać z rosnącém upodobaniem, z niemałym nakładem nawet: wszystko było obrachowane na wielką dogodność, wszystko musiało być ładne, w najlepszym gatunku [2]). Musiano kupować nowe meble, nowe obicia, etc., a ponieważ sam był przykuty do łoża, więc we wszystkiém wyręczał się przyjaciółmi i siostrą, wydając im najbardziéj drobiazgowe rozporządzenia... O nastroju, w jakim się znajdował temi czasy, świadczy jego list do Franchomme'a, który przed paru dniami opuścił Paryż, udając się z żoną i dziećmi nad morze. Chopin otrzymawszy od niego list, odpisał mu w te słowa: „Niedziela po Twoim wyjeździe, 17 września

---

[1]) St. Tarnowski, *Op. cit.*, str. 42. Liszt. *Op. cit.*, str. 129. „Czytał trwogę na twarzach wszystkich przyjaciół, widzieć mógł, jak coraz uporczywiéj smutek koło niego się szerzył, sam jednakże nie zdawał się w tym przedmiocie zbyt żywego brać udziału. Mówił wprawdzie o niedalekim końcu swoim ze spokojem i czysto chrześciańską rezygnacyą, niemniéj nie przestawał tworzyć zamiarów na przyszłość"!

[2]) St. Tarnowski, *Op. cit.*, str. 42.

1849. Drogi przyjacielu! Żałuję niezmiernie, że się niedobrze czułeś w Le Mans. Teraz jesteś w La Touraine, któréj niebo, spodziewam się, pomyślniéj wpłynie na Twoje zdrowie. Co do mnie, to jest mi raczéj gorzéj, niż lepiéj. Panowie Cruveiller, Louis i Blache odbyli konsylium i zadecydowali, że nie powinienem wyjeżdżać, lecz wziąć mieszkanie od południa i zostać w Paryżu. Po długich szukaniach znalazł się bardzo drogi wprawdzie, ale za to wszelkim warunkom odpowiadający lokal, Place Vendôme Nr. 12. Albert (Grzymała) ma tam teraz swoje biura. Méara bardzo mi była pomocną przy poszukiwaniu téj nowéj siedziby. Krótko mówiąc, będę was wszystkich w ciągu przyszłéj zimy widział w dość pomyślnych okolicznościach. Siostra moja zostaje u mnie; chyba, iżby się gwałtem dopominano o jéj powrót do domu. Kocham Cię, i to jest wszystko, co Ci na razie powiedzieć mogę, gdyż upadam ze zmęczenia i osłabienia. Siostra moja cieszy się, że znów zobaczy panią Franchomme, a ja cieszę się z tego niemniéj. Niech się dzieje wola boska... Najserdeczniejsze ukłony dla pana i pani Forest. Jakże chętnie spędziłbym kilka dni z wami! Czy pani Lauvergéat także bawi nad morzem? Nie zapomnij kłaniać się jéj odemnie, jak również i panu Lauvergéat. Uściskaj Twoje pociechy, a do mnie napisz znów kilka słów. Zawsze Twój... Siostra moja całuje panią Franchomme".

A więc upadał z osłabienia! Jakoż to było powodem, że zaczął ograniczać odwiedziny znajomych, przyjmując tylko niektórych. Musiał się liczyć z siłami, a nadewszystko z głosem, którego miał coraz mniéj. W czasie wizyt (a tych miał nadmiar, odkąd się wszyscy zaczęli zjeżdżać do Paryża), z konieczności musiał rozmawiać, zdobywać się na uprzejmość, a to wyczerpywało go zbytnio... Tém zniewolony, stał się niewidzialnym dla wielu, dla wszystkich mianowicie, na których widzeniu mniéj mu zależało: gdy przyszli, dowiadywali się w przedpokoju, że pan śpi, lub nie przyjmuje, ponieważ ma się gorzéj.

W takich warunkach odwiedził go któregoś dnia Cypryan Norwid. Nie widzieli się od owéj wizyty u Bohdana Zaleskiego. Norwidowidowi bowiem, lubo ciągle dowiadywał się o Chopina, tak się jakoś życie układało, że ani razu nie mógł się wybrać na ulicę Chaillot. Zaszedłszy teraz, dowiedział się od służącéj Francuzki, że pan śpi. Usłyszawszy to, zostawił bilet, na którym napisał kilka słów pozdrowienia, i cofnął się ku sieni. Ale zaledwie zstąpił po kilku schodach, gdy służąca wybiegła za nim, mówiąc, że pan, dowiedziawszy się, kto był, prosi, nie spał bowiem, tylko zmęczony

nie przyjmuje nikogo. Wdzięczny za to wyróżnienie, Norwid, gdy wszedł do sypialni Chopina, zastał go ubranego wprawdzie, ale „do pół leżącego w łóżku", z nabrzmiałemi nogami, co odrazu dawało się zauważyć, ile że były obute w pończochy i trzewiki. Przy chorym siedziała pani Jędrzejewiczowa, „dziwnie z profilu doń podobna". On sam, w cieniu głębokiego łóżka z firankami, oparty na poduszkach, okręcony szalem, bardzo był piękny, mając tak, jak zawsze, coś skończonego w każdym ruchu, coś, zdaniem Norwida, monumentalnie zarysowanego, „coś, co arystokracya ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszéj epoce cywilizacyi greckiéj"... Ujrzawszy wchodzącego poetę, przedewszystkiém zaczął mu wyrzucać, że go tak dawno nie odwiedził (a co chwila urywał zaczęte zdanie, bo, mówiąc, kaszlał i dławił się), następnie zaś począł sobie żartować z niego, sprzeciwiać mu się, posądzając go o „mistyczne kierunki", tłomaczyć wreszcie, że jeśli nie pokazywał się przez czas tak długi, to niezawodnie dlatego, że przystąpił do Towiańczyków. Norwid, znając tę słabość Chopina, że sobie lubił dowcipkować na temat „mistrza Andrzeja" i jego czcicieli (w czém nie przepuszczał nawet Mickiewiczowi, nie mówiąc już o Słowackim, którego wogóle nie lubił), i widząc, że choremu sprawia to przyjemność, nie obrażał się za podobne żarty. Rozmowa zresztą nie trwała długo: Chopin zaczął znowu kaszlać, a wykaszlawszy się, zmęczony, odpoczywał w milczeniu, przysłuchując się opowiadaniu gościa, który tymczasem zwrócił się do jego siostry... Potém przyszło jeszcze kilka gwałtownych paroksyzmów kaszlu, aż wreszcie nastąpiła przerwa. Chory tylko oddychał ciężko... Uważając, że była to najodpowiedniejsza chwila, by go zostawić w spokoju, Norwid zaczął się żegnać. Wtedy Chopin, ścisnąwszy go za rękę i odrzuciwszy sobie poruszeniem głowy włosy z czoła, rzekł:

— Wynoszę się...

To rzekłszy, urwał nagle, bo znowu przyszedł kaszel. Autor *Czarnych kwiatów*, zrozumiawszy te słowa Chopina, jako aluzyę do blizkiéj śmierci, zaprotestował przeciwko temu, wiedząc zaś, że „nerwom jego dobrze robiło silnie coś czasem przeczyć", całując go w ramię, odpowiedział:

— Wynosisz się tak co rok, a przecież chwała Bogu oglądamy cię przy życiu.

Ale jakże się zdziwił i zmieszał, gdy Chopin, przestawszy kaszlać, dodał z naciskiem:

— Mówię ci, że się wynoszę z tego mieszkania na plac Vendôme... [1]).

III.

Nastąpiło to jeszcze przed końcem września, ale nie sprowadziło najmniejszéj zmiany na lepsze. Chory czuł się coraz gorzéj. Nie pomagało mu słońce, które prawie przez cały dzień świeciło w okna; nie pomagał widok nowego mieszkania, które kończono meblować przy nim; nie pomagały lekarstwa doktora Cruveiller, który go teraz odwiedzał stale; nie pomagała czuła opieka siostry, dniem i nocą czuwającéj przy łożu. Był tak wycieńczony, że nie mógł siedzieć bez podparcia, że z łóżka lub fotelu nie mógł się podnieść o własnéj mocy. Kaszel stawał się coraz częstszy i dokuczliwszy, a oddech — coraz trudniejszy. Raz po raz przychodziły duszności, połączone z uderzeniami krwi do głowy, a nogi puchły coraz bardziéj. Zdarzały się chwile, w których biedny chory, nie mogąc zaczerpnąć powietrza, męczył się tak okropnie, że serce krajało się w obecnych. Na szczęście miewał i takie dnie, że czuł się względnie dobrze...

Właśnie w tym czasie przyjechał do Paryża Moscheles. Dowiedziawszy się o ciężkiéj niemocy swego młodszego kolegi, natychmiast pospieszył na Place Vendôme, wrażenie zaś, jakie wyniósł z tych przyjacielskich odwiedzin, tak sformułował w swym dzienniku: „Nieszczęściem, usłyszeliśmy o Chopinie, że się znajduje w stanie, zagrażającym jego życiu. Rozpytywaliśmy jednych i drugich, aż wreszcie znaleźliśmy potwierdzenie wszystkich najsmutniejszych wieści. Odkąd leży tak, złamany chorobą, siostra jest przy nim. Biedny człowiek! Dni jego obecnie są już policzone. Cierpi bardzo. Smutny los"!

A niebawem pogorszyło się tak dalece, że czasami robił wrażenie konającego. Któregoś dnia, podczas wizyty doktora, siedząc na łóżku, podtrzymywany przez jednego z przyjaciół, na którego ramieniu się wspierał, milczał długo, poczém, ocknąwszy się z głębokiéj zadumy, w któréj zdawał się być pogrążony, rzekł nagle:

— *Maintenant j'entre en agonie* [2]).

Usłyszawszy to lekarz, który go właśnie trzymał za puls, łagodnemi słowy starał się wmówić w niego, że nie powinien tracić nadziei, bo nie jest z nim tak źle, jak sobie wyobraża. Chopin jednak, któremu w téj chwili zimny pot zaczął spływać po czole, nie dał się przekonać, lecz z rozwagą, wprost niedopuszczającą zaprzeczenia, odpowiedział:

— *C'est une rare faveur que Dieu fait à l'homme en lui devoilant l'instant où commence son agonie. Cette grace il me la fait... Ne me troublez pas* [1]).

I znowu zaczęły się gwałtowne paroksyzmy kaszlu. W przerwach między jednym atakiem a drugim, chory, w obecności księżnéj Marcelliny Czartoryskiéj, skarżył się kilkakrotnie:

— Dlaczego ja tak cierpię! Żeby to w bitwie, to bym rozumiał, bo bym mógł być przykładem dla innych, ale skoro umiéram tak nędznie, w łóżku, na cóż się to komu przyda, że się tak męczę [2]).

Odtąd każdy dzień zdawał się być ostatnim. Dolegliwości stawały się coraz żywsze, chory jęczał ciężko, dusił się, mdlał, ale przytomnym był ciągle. Choć miał zupełną świadomość swego rozpaczliwego stanu, to jednak, ile razy się czuł nieco lepiéj, wnet odzyskał zwykłą żywość umysłu, a spokojem i pogodą, z jakiemi oczekiwał śmierci, wzruszał i budził podziw [3]). Bo, że śmierć już stała za progiem, o tém nie wątpił nikt z pośród całego otoczenia.

Dnia 12 października, gdy nadszedł wieczór, było tak źle, że dr. Cruveiller, nie ręcząc za noc, polecił wezwać księdza. Posłano po O. Jełowickiego, wiedziano bowiem, że jest to jedyny sługa boży, który Chopina może zdoła nakłonić do przyjęcia Sakramentów [4]). Gdy przyszedł, chory, dowiedziawszy się o tém, nie kazał go wpuszczać do siebie [5]). Dopiéro po niejakim czasie, ulegając perswazyom

---

[1]) *Czarne kwiaty.*

[2]) Teraz zaczynam konać. Ob. Niecks, II, 346; Tarnowski 44; Schultz, 144.

[1]) Wielka to łaska, gdy Bóg pozwala człowiekowi mieć świadomość chwili, gdy zaczyna się jego konanie. Łaską tą obdarza mnie obecnie... Nie przeszkadzajcie mi.

[2]) Tarnowski, *Chopin*, 44.

[3]) Liszt, 130.

[4]) *Tyg. illustr.* z d. 27 lutego 1897. *List ks. A. Jełowickiego do pani Ksawery Grocholskiéj o śmierci Chopina.*

[5]) Inaczéj tę rzecz opowiada Niecks. Według niego (t. j. według relacyi naocznych świadków) ks. Jełowicki od wielu lat żył w niezgodzie z Chopinem. Dlatego, gdy dowiedziawszy się o jego zbliżającéj się śmierci, stawił się w progu jego mieszkania przez nikogo nie wzywany, trzy razy był odprawiany przez przyjaciół umierającego. Dopiéro, gdy mu się udało przez kogoś powiadomić Chopina, iż on, ks. Jełowicki, pragnąłby się z nim widzieć, Chopin kazał go niezwłocznie dopuścić do siebie... Ks. Jełowicki odwiedzał go co dzień, po kilka godzin z rzędu przesiadując u jego łoża. Tak opowiadał Niecksowi o tém zdarzeniu Fr. Liszt...

przyjaciół i siostry, ustąpił. Przystawszy jednak na zobaczenie się z księdzem, uczynił tyle tylko, że gdy ten stanął przed nim, uścisnął mu rękę i rzekł:

— Kocham cię bardzo, ale nic mi nie mów. Idź spać.

A więc nie dopuścił nawet, ażeby go Jełowicki zaczął namawiać do pogodzenia się z Kościołem. Jakoż na tém skończyła się ich lakoniczna rozmowa tego wieczoru. Ksiądz wrócił do domu, strapiony takim obrotem rzeczy, a tymczasem na Chopina przyszła ciężka noc, bezsenna i pełna cierpień...

Nazajutrz w południe, gdy ks. Jełowicki, niezrażony wczorajszém zachowaniem się swego przyjaciela, zjawił się powtórnie, Chopin, który właśnie spożywał śniadanie, a w ogóle był rzeźwiejszy od rana, nietylko nie ociągał się z przyjęciem go, lecz poprosił nawet, by mu towarzyszył przy jedzeniu. Jełowicki nie odmówił, a po śniadaniu, jakoś nie zabierając się do wyjścia, usiadł na łóżku, obok artysty, i zaczął z nim rozmawiać w możliwie serdecznym tonie. Chopin zdawał się być rad swemu dawnemu koledze ze szkolnéj ławy, o tém zaś, co wczoraj zaszło pomiędzy nimi, milczał, jakby cały epizod uważał za niebyły. Ośmielony tém jego zachowaniem się, a także przeczuwając, że je należy uważać za dowód pożądanego zwrotu we Fryderyku, ksiądz Jełowicki rzekł:

— Przyjacielu mój kochany, dziś są imieniny mego brata, Edwarda.

Wzruszony tém wspomnieniem, Chopin westchnął głęboko, co widząc duchowny, tak mówił daléj:

— W dzień święta mego brata daj mi wiązanie.

— Dam ci, co zechcesz, odpowiedział Chopin.

— Daj mi duszę twoją...

— Rozumiem cię. Weź ją...

Uradowany tą pokorą Chopina, ks. Jełowicki podał mu krzyżyk, składając go w milczeniu na jego ręce. Wtedy Chopinowi popłynęły łzy... Nareszcie, gdy obaj ochłonęli cokolwiek, a wszyscy wydalili się do przyległych pokoi, zapytał ksiądz:

— Czy wierzysz?

— Wierzę.

— Jak cię matka nauczyła?

— Jak mię matka nauczyła.

I nie mogąc się powstrzymać od płaczu, wyspowiadał się, poczém sam prosił o Wiatyk i ostatnie pomazanie. Przyjął je wobec siostry i kilku przyjaciół, klęczących i modlących się obok. Następnie, gdy kapłan zabiérał się do wyjścia, kazał wynagrodzić jego

zakrystyana, prosząc, ażeby mu dano dwadzieścia razy tyle, ile się zwykle daje.

— To za wiele, rzekł ksiądz.

— Nie za wiele, odparł złamanym głosem chory, bo to, com przyjął, jest nad wielką cenę.

Tymczasam w przyległych komnatach gromadziło się coraz więcéj osób. Bywały chwile, że wprost tłoczono się w przedpokoju. Cały Paryż bowiem, muzykalny i emigracyjny, na wieść, iż Chopin dogorywa, spieszył się z nim pożegnać... Oczywiście, że nie wszystkich dopuszczano do niego. Tylko najwybrańsi mieli to smutne szczęście, ci zaś, dostawszy się do tego pokoju, gdzie wszyscy mówili po cichu, a najgłośniéj rozlegał się suchy kaszel chorego, ledwo mogli zapanować nad wzruszeniem... Wsparty na ramieniu jednego z przyjaciół (najczęściéj Gutmanna, który, jako najsilniejszy i najwyższy wzrostem, najlepiéj umiał go podtrzymywać), zamiast leżeć, przeważnie siedział na łóżku; w téj pozie bowiem najmniéj jeszcze męczył się oddychaniem. Gdy się dowiedział, że ktoś przyszedł, zaraz kazał prosić, rozmawiał — o ile mógł — jaknajuprzejmiéj, a ze wszystkimi żegnał się po prostu, jak przed podróżą. O śmierci, którą już widział przed sobą, mówił tak spokojnie i odważnie, jakgdyby nie po niego przychodziła [1]). Po sypialni krzątała się pani Jędrzejewiczowa, pani Matuszewska, służący Daniel, przy łożu zaś, w głowach, siadywała, modląc się, księżna Marcellina, o ile nie grała roli troskliwéj siostry miłosierdzia, odgadującéj najdrobniejsze zachcenia chorego... Inni przyjaciele i znajomi, jak Franchomme, Kwiatkowski i Gavard, pełnili wszelkie posługi, jakich ciągle zachodziła potrzeba, a inni jeszcze, czuwając w przyległym salonie, także starali się być przydatni, jak mogli. Jeden spieszył po lekarza lub felczera, drugi biegł do apteki, trzeci wprowadzał przybyłe osoby, z któremi Chopin pragnął się widzieć, czwarty stał przy drzwiach, by nie dopuszczać cisnących się, „gdyż wielu dlatego tylko się meldowało, aby widokiem umierającego ciekawość swą zaspokoić".

Naraz, pod wpływem chwilowéj ulgi, zwracając się do księżnéj Marcelliny, chory wyraził życzenie, że pragnąłby posłuchać muzyki: żeby mu co zagrano. Jakkolwiek po wszystkiém, co zaszło do téj pory, było to żądanie więcéj niż niespodziewane, mimo to nie ociągano się z jego wypełnieniem; ponieważ był właśnie Franchomme, a znalazła się i jakaś wiolonczela, więc zdecydowano się zagrać Chopi-

---

[1]) Tarnowski, *Chopin*, 43.

nowską *Sonatę G-moll*. Do fortepianu zasiadła księżna... Niestety, już po kilkunastu pierwszych taktach, Chopin, widocznie wzruszony wspaniałą introdukcyą do téj swojéj pieśni łabędziéj [1]), znowu zaczął się dusić... Zerwano się z miejsc, i tak się skończyła ta muzyka [2]).

Znów przyszło pogorszenie. Lekarze zebrali się na jeszcze jedno konsylium, uradzili przecież, że ich rola skończyła się, a natomiast zaczynała się dla kapłana, odmawiającego modlitwy za konających. Jakoż ksiądz Jełowicki prawie nie wychodził z pokoju... Tymczasem Chopin leżał bez ruchu, milczący z przymkniętemi powiekami, obojętny na wszystko, a nawet, jak się zdawało, nieprzytomny. Obecni byli przeświadczeni, że oto zbliża się ostatnia chwila, i obstąpiwszy umierającego, z niepokojem wpatrywali się w jego wychudłe i posiniałe oblicze. Nagle otworzył szeroko oczy, a zdziwiony widokiem tylu osób, zgromadzonych dokoła niego, zapytał nawpół przytomnie:

— Co oni tu robią? czemu się nie modlą?

Wtedy ksiądz Jełowicki zaczął odmawiać litanię do wszystkich Świętych, na którą całe otoczenie, nie wyłączając kilku protestantów, odpowiadało klęczący.

Nadeszła noc, a Chopin, nie mogąc usnąć, prawie ciągle trzymał w swych rozgorączkowanych dłoniach rękę siedzącego przy nim ks. Jełowickiego.

— Ty mnie nie odstąpisz w téj stanowczéj chwili, mówił ledwo dosłyszalnym głosem, a gdy mu ksiądz podawał krzyż do ust, całował rozpiętego na nim Chrystusa, powtarzając co chwila:

— Jezus Marya!

Niekiedy, widząc smutne twarze obecnych, którzy pomimo wysiłku nie mogli nie okazać swéj boleści, zwracał się do nich czule, mówiąc:

— Kocham Boga i kocham ludzi. Dobrze mi, że tak umiéram.

---

[1]) *Sonata G-moll* na fortepian i wiolonczelę była ostatniém dziełem Chopina, wydrukowaném za jego życia.

[2]) St. Tarnowski, *Księżna Marcellina Czartoryska*, 261. „Kiedy raz zrobiło mu się lżéj, prosił chory, żeby mu zagrano, chciał jeszcze raz słyszéć muzykę. Księżna siadła do fortepianu. Franchomme wziął wiolonczelę, i mieli grać *Sonatę Chopina*... Ale po pierwszych taktach przyszła duszność, zerwali się, zaczęło się konanie". Trochę inaczéj pisze o téj chwili St. Tarnowski w liście prywatnym do mnie: „W wilię śmierci kazał Franchommowi i księżnéj grać jakąś *Sonatę Mozarta*, ale ledwo wzięli jeden akord, dostał duszności, i skończyło się, nie grali".

Siostro moja kochana, nie płacz. Nie płaczcie, przyjaciele moi! Jam szczęśliwy... Czuję, że umiéram. Módlcie się za mnie. Do widzenia w niebie!

To znowu zwracając się do lekarzy:

— Puśćcie mnie! Niech umrę! Już mi Bóg przebaczył, już mię woła do siebie. Puśćcie mnie! Chcę umrzeć!

I znowu po niejakiéj chwili:

— O, pięknaż umiejętność przedłużać cierpienia! Gdybyż jeszcze na co dobrego, na jaką ofiarę, ale na umęczenie mnie i tych, co mnie kochają. Piękna umiejętność! Napróżno zadajecie mi srogie cierpienia! Możeście się pomylili?... On mnie oczyszcza... O, jakże Bóg dobry, że mnie na tym świecie karze! O, jakże Bóg dobry!...

Do księdza Jełowickiego zaś, chcąc mu wyrazić swą wdzięczność, że go nakłonił do przyjęcia Sakramentów, rzekł nie bez lekkiego odcienia humoru:

— Gdyby nie ty, byłbym skończył, jak... świnia [1]).

Nie zapomniał téż i o pani Sand, którą mu przypominała obecność jéj córki, pani Clesinger. Myśląc o „Lukrecyi", rzekł do Franchomme'a:

— *Elle m'avait dit que je ne mourrais que dans ses bras* [2]).

Widocznie miał żal do niéj, że go nie odwiedziła raz jeszcze przed śmiercią... Nie wiedział, że autorka *Lukrecyi Floriani*, zajęta właśnie w tym czasie wystawieniem swego dramatu w *Théâtre Français*, przysyłała na *Place Vendôme* panią Marliani, by w jéj imieniu poinformowała się o jego stanie zdrowia... Nie wiedział również, że przyjaciele jego, wiedząc, jak by go podobna wiadomość wzruszyła, uznali za właściwe nie wspominać mu nic o téj wizycie... [3]).

---

[1]) Ks. Jełowicki, w liście do pani Grocholskiéj, powiada, iż Chopin rzekł: „Bez ciebie, mój drogi, byłbym z d e c h ł, jak świnia".

[2]) Niecks, II, 346. Słowa te, według Franchomme'a, miał Chopin wypowiedzieć n a d w a d n i p r z e d ś m i e r c i ą.

[3]) Tak opowiada o tém Karol Gavard. Tymczasem Gutmann zapewniał Niecksa, że pani Sand o s o b i ś c i e zjawiła się u drzwi mieszkania Chopina, gdzie powitana przez Gutmanna, pytałą go, czy może się zobaczyć z Chopinem. Gutmann jednak odradzał jéj to stanowczo, gdyż mogłoby to Chopina przyprawić tylko o zbyt silne, a przynajmniéj jak w danym wypadku niepożądane wzruszenie. Zdaniem Niecksa atoli, nie zawsze, a szczególniéj tym razem, należy zupełnie polegać na relacyach Gutmanna, nie wszystko bowiem, co ten opowiadał o ostatnich chwilach Chopina, pozostaje z sobą w logicznéj zgodzie. I tak np. aż dwa razy mówił

Nadszedł dzień 15 października, niedziela. Od samego rana chory czuł się raźniejszym... Tegoż dnia przybyła do Paryża pani Delfina Potocka. Przyjechała z Nizzy, gdzie dowiedziawszy się, iż Chopin jest umierający, coprędzéj pospieszyła nad Sekwanę, by go raz jeszcze zobaczyć przy życiu... Gdy ku niesłychanemu zdziwieniu wszystkich zjawiła się na *Place Vendôme*, Chopin, usłyszawszy o tém, ucieszył się nadzwyczaj, a gdy wreszcie piękna hrabina, przybrana w biały strój klasyczny, w którym wyglądała, jak grecka bogini, zbliżyła się do niego, rzekł z rozpromienioném obliczem:

— *C'est donc poir cela que Dieu tardait tant à m'appeler à Lui; il voulait encore me laisser le plaisir de vous voir.*

Ale wzruszony tém powitaniem, niedługo cieszył się z przyjazdu swéj przyjaciółki, bo przyszedł nowy atak duszności i kaszlu, atak trwający kilka godzin, a dokuczliwszy od wszystkich poprzednich. Pod wieczór przyszło znów znaczne polepszenie... Chory uspokoił się, a ujrzawszy panią Potocką, rzekł do siedzącego przy nim ks. Jełowickiego, że pragnąłby posłuchać jéj śpiewu. Żądanie to, w podobnéj chwili, wydało się tak dziwném, że je zrazu wzięto za majaczenie, ale gdy je powtórzył raz jeszcze z naleganiem, nie pozostało nic innego, tylko mu zadośćuczynić. Jakoż przysunięto fortepian z salonu aż do drzwi sypialni, poczém pani Delfina, z oczyma wilgotnemi od łez, głosem drgającym ze wzruszenia, zaczęła śpiewać... O ile nie akompaniowała sobie sama, prawdopodobnie wtórował jéj Gutmann. Śpiewała, jak twierdzi większość świadków naocznych, sławny *Hymn do Matki Boskiéj*, o którym istnieje legenda, że ocalił niegdyś życie Stradelli... Chwila była niezmiernie uroczysta i przejmująca: wszyscy słuchali z oddechem zapartym w piersiach, a Chopin, uniesiony zachwytem, zapominając o swych cierpieniach, powtarzał jakby w ekstazie:

— Jakże to piękne, ach! jak piękne!

Gdy zaś pani Potocka, skończywszy ten wzniosły hymn, odstąpiła od fortepianu, jemu było mało téj jednéj pieśni.

— Jeszcze, jeszcze! powtarzał błagalnie.

Lubo wyczerpana i z trudem mogąca zapanować nad łkaniem, pani Delfina, nie mogąc umierającemu odmówić téj ostatniéj artystycznéj rozkoszy, znowu podeszła do fortepianu, a gdy ucichły szlochania, zaczęła śpiewać... Co? O ile nie jest pewném, czy to był *Psalm* Marcellego czy arya Belliniego z *Beatrice di Tenda*[1]), o tyle jedno nie ulega wątpliwości, że pani Potocka nie dokończyła śpiewać téj drugiéj pieśni, że ją musiała przerwać, gdyż choremu zrobiło się gorzéj, przyszedł nowy atak, wszyscy w popłochu rzucili się z pomocą...

Wieczorem pogorszyło się jeszcze bardziéj. Przyszła chrypka, sprowadzająca prawie całkowitą utratę głosu; nadto dawał się zauważyć zanik przytomności: chory, cierpiąc okropnie, zdawał się nie poznawać tych nawet, co go otaczali. Każdéj chwili spodziewano się katastrofy... I tak przeszła cała noc, najgorsza ze wszystkich dotychczasowych.

Ale nad ranem znowu polepszyło się znacznie: chory odzyskał głos, wróciła przytomność, ustały cierpienia. Pod wrażeniem téj niespodziewanéj ulgi, zamiast się cieszyć z niéj, Chopin nie taił się z refleksyą, że to źle... Jakto? Czemu?

— Bo mnie to przywiązuje do życia, rzekł, a ja powinienem się od niego odrywać [2]).

---

podobno Gutmann Niecksowi, że osobą, która przychodziła pytać się imieniem pani Sand, czy by wypadało, by ta ostatnia mogła się zobaczyć z Chopinem, miała być pani Clesinger. Tymczasem nie mogło to mieć miejsca stanowczo, bo 1) pani Clesinger wcale się w tych czasach nie komunikowała z matką, żyjąc z nią w najgorszych stosunkach, a 2) że ona właśnie należała do osób, które się najgorliwiéj krzątały przy łożu dogorywającego Chopina.

[1]) O ile pewném jest, że pani Delfina śpiewała przy łożu umierającego Chopina, że śpiewała *dwie* pieśni i że to miało miejsce, „pod wieczór d. 15 października“, o tyle nie wiemy napewno, co śpiewała. Pod tym względem istnieje kilka wersyi. Karol Gavard, cytowany przez Niecksa, oświadcza wprost, że nie wie, co pani Potocka śpiewała: zbyt był wzruszony tą sceną, tym kontrastem, tym nadmiarem boleści, ażeby słuchać uważnie. Pamięta tylko, że w chwili, gdy pani Potocka śpiewała *drugą* pieśń, przyszedł atak, więc musiała przerwać. To samo twierdzą Liszt, Karasowski i Szulc, którzy powiadają, że pani Potocka śpiewała *Hymn do Matki Boskiéj* Stradelli i *Psalm* Marcellego! Dodać winienem, iż to samo utrzymywała księżna Marcellina Czartoryska, a dziś utrzymuje jéj syn, książe Marcelli Czartoryski. Wiem o tém od p. Juliusza Stattlera. Tymczasem St. Tarnowski (prawdopodobnie opierając się na opowiadaniu księżnéj Marcelliny) powiada, że pani Delfina „śpiewała jakąś aryę Belliniego (podobno z *Beatrice di Tenda*)“ Gutmann twierdzi stanowczo, że był to *Psalm* Marcellego i jakaś arya Pergolese'a. Franchomme natomiast z niemniejszą stanowczością utrzymuje, że arya była z *Beatrice di Tenda*. Wodziński w swoich *Les trois Romans de Frédéric Chopin* także podaje aryę z *Beatrice di Tenda*, choć wogóle trzyma się Karasowskiego i Liszta. Nadmienić winienem, że w czasopiśmie *L'artiste (Revue de Paris)* z dnia 1 listopada 1849 roku, a więc we dwa tygodnie po śmierci Chopina, pisano: „Le mourant soupplia la comt. Potocka de chanter le psaume de Stradella“. Jest to głos współczesny, tém większą téż należy doń przywiązywać wagę. Wynikałoby zeń, że Chopin sam prosił panią Delfinę o zaśpiewanie psalmu Stradelli... NB. Chwilę tę, gdy pani Potocka śpiewa umierającemu Chopinowi, uplastycznił na obrazie malarz francuzki Barrias. Obraz ten, ofiarowany pannie Winnaretta, zdobi dziś galeryę księcia de Campofelice.

[1]) St. Tarnowski, *Chopin*, 43.

Równocześnie, z doznaną ulgą, wróciła myśl o tém, co było treścią i wdziękiem jego życia, myśl o muzyce. Widząc, że obok tych, co z takiém poświęceniem czuwali nad nim, nie brakło i jego najserdeczniejszych przyjaciół, Gutmanna i Franchomme'a, aż dwa razy kazał ich przywoływać do siebie, dla każdego znajdując jakieś czułe słowo pożegnania i błogosławieństwa... Ujrzawszy dwie swoje najmilsze uczennice, księżnę Marcellinę i Elizę Gavard, skinął, by się zbliżyły do niego, co gdy uczyniły, rzekł im z przejmującą słodyczą w głosie:

— *Vous ferez de la musique ensemble, vous penserez à moi et je vous écouterai.*

A kiedy w odpowiedzi na te słowa, Franchomme oświadczył wzruszony: „Dobrze, będziemy grywali twoją *Sonatę...*“ Chopin odrzekł:

— O nie, nie moją! *Vous jouerez de la vraie musique, du Mozart* [1]).

Poczém, zwracając się do siostry, prosił ją, by spaliła wszystkie jego niewydane a mniéj wartościowe kompozycye:

— Winienem to publiczności, mówił, i sobie, żeby ogłaszać tylko rzeczy dobre. Trzymałem się tego przez całe życie, chcę się trzymać i teraz [2]).

---

[1]) Por. St. Tarnowski, *Chopin*, 44, *Ks. Marc. Czart.*, 261; Karasowski, II, 149; Niecks, II, 346.

[2]) Taką wersyę podaje St. Tarnowski (Chopin, (43) najprawdopodobniej na podstawie opowiadania księżnéj Marcelliny. Tymczasem Niecks, opierając się na tém, co mu opowiadał Franchomme, tak pisze w téj kwestyi: „Pleyel zapytał Chopina, co ma się stać z jego manuskryptami, i otrzymał taką odpowiedź: Można je rozdzielić między przyjaciół, żadnego nie należy ogłaszać drukiem, a fragmenty zniszczyć“. W czasopiśmie *L'Artiste* z d. 1 listopada 1849 r. tak pisze w téj kwestyi niejaki A. H.: „Il laisse des oeuvres inédites; mais à son lit de mort il a voulu qu'elles fussent brûlées, disant qu'il pouvait seul, avec son coeur depuis longtemps blessé, faire comprendre toute la tristesse amoureuse et tout le charme profond de cette musique faite pour lui seul et que seul il a entendu. Eugène Guinot w felietonie dziennika *Le siècle* (z d. 4 listopada 1849 r.) utrzymuje iż wszystkie papiery Chopina, wraz z jego niewydanemi kompozycyami, zostały, w jego oczach tego samego dnia, gdy śpiewała pani Delfina, wrzucone w ogień. „Moi seul, reprit il, pouvais faire comprendre cette musique... Laissez moi donc l'emporter avec moi. ...Le pianiste des femmes brula ensuite un très grand nombre de lettres concervées pieusement et avec l'amour jusqu'au moment suprême. Parmi ces lettres il y avait des belles pages écrites par une plume śloquente et signiées d'un nom celèbre (George Sand). Celles là furent brulées comme les autres, et c'est autan de perdu pour la posterité.

Było to jedno z tych jego ostatnich poleceń, które z największą przytomnością i spokojem dawał bądź siostrze, bądź księżnéj Marcellinie [1]), bądź niektórym zaufanym przyjaciołom. Chciał być pochowanym na cmentarzu Père Lachaise, w pobliżu Belliniego, którego muzyki był szczerym wielbicielem, a z którym między rokiem 1833 a 1835 żył w ścisłéj przyjaźni [2]). Ale życząc sobie, by go pochowano na wspomnianym cmentarzu, pragnął jeszcze czegoś więcéj: umierał na obczyźnie, lecz sercem należał wyłącznie do swego kraju, do swego rodzinnego miasta: dlatego pragnął, aby to serce zwrócono Warszawie, jako niepodzielną własność, i pochowano w którym z tamtejszych kościołów. Do trumny chciał być złożonym w stroju, w którym występował na swych ostatnich koncertach. [3]) Na nabożeństwie żałobném odprawioném za jego duszę, gdy trumna będzie stała w kościele, radby, żeby było wykonane *Requiem* Mozarta [4]), a na cmentarzu, gdy trumnę będą spuszczali do grobu, niech

---

[1]) St. Tarnowski, *Księżna Marcellina Czartoryska.*

[2]) Oto, co z powodu tego życzenia Chopina pisze Liszt w swéj książce o nim: „Chciał być pochowany obok Belliniego, z którym się bardzo przyjaźnił, a który spoczywa na cmentarzu Père Lachaise, w pobliżu Cherubiniego. Trzeba, że właśnie Cherubiniego kiedyś uczcić pragnąc (w poszanowaniu bowiem tego mistrza osobliwie go ćwiczono), po to jedynie Chopin w r. 1831 do Paryża się był wybrał. Dziś grób jego znajduje się między mogiłami Belliniego i Cherubiniego, wpośród tych dwóch geniuszów, tak między sobą różnych, którym jednak on w równym stopniu stał się pokrewny, tyleż w jednym ceniąc naukę powszechną, ile mając wrodzonéj skłonności ku drugiemu: bo tchnąc témże samém uczuciem melodyjném, co i twórca *Normy*, posiada tęż samą wartość i głębokość harmonijną, co stary Cherubini, skojarzywszy w sobie jednym, w sposób dostojny, mgliste objawy wzruszeń z umiejętnością wytrawnego mistrza“. Franchomme utrzymuje, że Chopin wcale nie wypowiedział tego życzenia, iż chce być pochowanym obok Belliniego (Niecks, II, 352).

[3]) Liszt, *Chopin*, 79. Kwiatkowski, malarz, zapytywany przez Niecksa w téj kwestyi, odpowiedział, że nic nie wie o tém życzeniu Chopina.

[4]) Wszystkie dzienniki paryskie zaraz po śmierci Chopina pisały o tém jego życzeniu. Hector Berlioz np. pisze w *Journal de Débats* z d. 27 października, że „dostojny uczeń Chopina, Gutmann, usłyszał to życzenie z ust mistrza prawie z ostatniego jego tchnienia“. Tymczasem Gutmann zapewniał Niecksa, że nigdy podobnego życzenia nie słyszał z ust Chopina. To samo twierdzi Franchomme. Karol Gavard natomiast, którego pamiętnik okazał się najprawdomówniejszym i najdokładniejszym ze wszystkiego, co pisano o ostatnich chwilach Chopina, utrzymuje stanowczo, że Chopin sam ułożył program nabożeństwa żałobnego, jakie się miało odbyć po jego śmierci, i że życzył sobie, aby przy téj sposobności było wykonane *Requiem* Mozarta. Liszt i Szulc także podkreślają to życzenie Chopina. Zważywszy trudności, jakie nastręczało wykonanie Mo-

na jéj wieko wysypią tę garść ziemi polskiéj, którą mu przed jego wyjazdem z Warszawy ofiarowali przyjaciele i towarzysze lat młodzieńczych... [1]) Wszystkie papiery, jakie znajdują się w jego biurku, spalić.

Nad wieczorem pogorszyło się znowu. Nastąpiły gwałtowne kurcze nerwowe, na których pokromienie okazał się tylko jeden skuteczny środek: choremu zaczęto nacierać ręce i nogi, co wykonywane przez Gutmanna, sprowadzało niejakie uspokojenie. Ale był to już początek końca... Stojący przy łożu ks. Jełowicki zaczął odczytywać modlitwy za konających, Chopin zaś, podtrzymywany przez Gutmanna, z głową bezwładnie złożoną na jego ramieniu, z przymkniętemi oczyma, z piersią podnoszącą się i opadającą ciężko, siedział milczący, nieruchomy, okutany kołdrą, oświetlony ponurém światłem gromnic. Obecnym, którzy, klęcząc, modlili się za niego, zdawało się, że spał, że nie wiedział, co się działo wkoło niego. Okazało się jednak, że i słuchał i uważał, bo gdy ksiądz dokończył modlitwy, on otworzył oczy — rozwierając je dziwnie szeroko — i rzekł wyraźnie:

— Amen! [2])

Z kolei, gdy mu ksiądz podał krzyż do pocałowania, wyszeptał:

— Jestem już u źródła szczęścia [3]).

Po tych słowach, wciąż wsparty o siedzącego przy nim na łóżku Gutmanna, zapadł w niespokojną śpiączkę, z któréj ocknął się

---

zartowskiego *Requiem*, można być pewnym, że gdyby to nie było wyraźném życzeniem Chopina, poprzestano by na skromniejszém nabożeństwie żałobném. Skoro te wszystkie trudności przezwyciężono, wskutek czego sam pogrzeb musiał się odbyć dopiero we dwa tygodnie po śmierci artysty, to już to samo można uważać za dowód, że chciano uszanować ostatnią wolę zmarłego. Zresztą kult, jaki Chopin przez całe życie żywił dla Mozarta, w zupełności motywuje podobne życzenie z jego strony.

[1]) Karasowski, *Chopin*, II, 202.

[2]) Tak opisuje tę chwilę K. Gavard. Inaczéj o niéj opowiada Liszt: „Dopiero około 11-éj w nocy miał niejakie polepszenie. Wtedy zwróciwszy się ku księdzu Jełowickiemu, ile że głos był odzyskał, zapragnął mówić z nim modlitwy i litanię, którą się zwykło odmawiać w godzinie śmierci. Co gdy spełniono, powtarzał i odpowiadał głośno i wyraźnie. Od téj chwili, bez ustanku już, trzymał głowę wspartą na ramieniu Gutmanna". Szulc powiada, że Chopin powtarzał za spowiednikiem słowa modlitwy głośno i wyraźnie w języku łacińskim. Najprawopodobniejszą jest wersya Gayarda, któréj też trzyma się Niecks, II, 348

[3]) List ks. Jełowickiego do Ksawery Grocholskiéj.

dopiero po północy. Ujrzawszy przy sobie Gutmanna, nie poznając go, zapytał ledwo dosłyszalnym głosem:

— Któż to jest przy mnie?

Gdy usłyszał odpowiedź, zażądał pić. Wtedy Gutmann podsunął mu do ust szklankę wody z winem, chory napił się trochę, poczém, opuściwszy głowę, pocałował podtrzymującego go Gutmanna w rękę, wyszeptawszy:

— *Cher ami!* [1])

Około godziny 2-éj zaczęło się konanie. Zimny pot obficie spływał po czole umierającego, głowa mu zwisła bezwładnie, i tylko piersi pracowały ciężko. W końcu przyszedł nowy atak duszności, który już miał być ostatnim: konający, dusząc się, pociemniał na twarzy, raz po raz zdawało się wszystkim, że już się kończy jego męczarnia, że za chwilę przestanie jęczeć...

Tak upłynęła godzina. Wreszcie ustały cierpienia, oddech stał się spokojniejszy, a nawet tak spokojny, że myślano, iż to już koniec... Wtedy to dr. Cruveiller, który wraz z drugim lekarzem nie odstępował od łoża, wziął zapaloną świecę, prawie nią dotknął się poczerniałéj twarzy artysty, a przypatrzywszy mu się uważnie, oświadczył zgromadzonym, że zmysły i mózg już przestały działać... A jednak mylił się i tym razem jeszcze, bo skoro zapytał Chopina, czy bardzo cierpi, usłyszał krótką, lecz całkiem dorzeczną odpowiedź:

— *Plus.*

Było to ostatnie słowo, jakie usłyszano z ust wielkiego muzyka. W niespełna godzinę potém, między 3-cią a 4-tą rano, wyzionął ducha. Umarł na ręku Gutmanna, a ostateczną przyczyną, która sprowadziła śmierć, był anewryzm serca [2]).

---

[1]) Szklankę tę przechowywał Gutmann, jak najdroższą pamiątkę, aż do końca życia. B. Stavenow powiada, że Chopin pocałował Gutmanna w rękę i w chwilę potém skonał. Gutmann był tak wzruszony, że go hr. Grzymała musiał wyprowadzić z pokoju. Liszt opowiada nieco inaczéj, mianowicie że Chopin, po napiciu się owéj wody z winem, pochylił się do ręki Gutmanna, aby ją pocałować, i w tym ostatnim objawie wdzięczności, nic nie rzekłszy, oddał ducha.

[2]) Dom przy *Place Vendôme* Nr. 12, choć przebudowany, istnieje dotąd. W ostatnich czasach powstała myśl umieszczenia na fasadzie tego domu tablicy pamiątkowéj dla Fr. Chopina. Tablicę ofiarował znany artysta p. Cypryan Godebski. Medalion wykonał bezinteresownie p. Trojanowski, rzeźbiarz.

W r. 1897 uchwaliła Rada Municypalna Paryża nazwać jeden z placów w dzielnicy *de la Muette* (w pobliżu Lasku Bulońskiego) *Placem Chopina*. Naturalnie, że Francuzi, nazywający Chopina *notre grand maitre*, nie przypuszczają nawet, że Chopin mógł nie być Francuzem... W tymże czasie powstał w Paryżu projekt wystawienia pomnika Chopinowi na którym z placów publicznych paryskich.

Gdy się przekonano, że już nie żyje, otwarto drzwi sypialni, ażeby wszyscy, zgromadzeni w przyległych pokojach, mogli zapłakać nad jeszcze nie zastygłemi zwłokami, popatrzéć w martwe oblicze mistrza i wrazić sobie w pamięć jego zakrzepłe rysy.

On tymczasem, z niedomkniętemi oczyma, z głową w tył rzuconą, z włosami w nieładzie, których długie złotawe loki ciemno odbijały od śnieżnéj bieli poduszek, leżał sztywny, blady, z obliczem, wolném już od tego wyrazu cierpienia, które na niem jeszcze przed chwilą wyciskało swój bolesny stygmat.

W liczbie osób, które téj nocy znajdowały się w mieszkaniu Chopina [1]), był także malarz Tadeusz Kwiatkowski. Serdecznie zaprzyjaźniony ze zmarłym, którego kilka portretów ołówkowych i akwarellowych rysował i malował w ostatnich czasach, a zawsze z zachwytem wpatrujący się w pełne szlachetności i dystynkcyi, subtelne i delikatne rysy genialnego muzyka-poety, i teraz, kiedy mu się przypatrywał spoczywającemu na śmiertelném łożu, postanowił jeszcze raz odtworzyć tę ukochaną głowę. W tym celu czekał, aż się rozwidni, a gdy to nastąpiło, nie zwłócząc, wziął się do pracy, w któréj „łzy żalu niemałą były przeszkodą...“ Wytężył wszystkie siły, ażeby ten pośmiertny wizerunek Chopina wypadł jaknajlepiéj, i dopiął celu: akwarella bowiem, którą wymalował tego ranka, bodaj czy nie jest jego arcydziełem [2]).

Gdy skończył malować, zaraz po nim rzeźbiarz Clesinger zdjął maskę pośmiertną [3]).

Następnie przyszła kolej na doktorów, którzy, skonstatowawszy śmierć, najprzód zrobili sekcyę, potém wyjęli serce, które, stosownie do życzenia Chopina, miało być zwrócone Warszawie, i wreszcie zabalsamowali zwłoki...

---

[1]) Z pomiędzy osób, znajdujących się w mieszkaniu Chopina, należy wymienić: siostrę Chopina, prof. Jędrzejewicza, księdza Jełowickiego, d-ra Cruveiller, hrabiego Grzymałę, Karola Gavarda, malarza Kwiatkowskiego. Co do innych osób, jak np. księżny Marcelliny, to niema żadnych pewnych dowodów, że w téj chwili znajdowały się przy łożu Chopina. Nie należy zapominać, że była to godzina 3-cia w nocy.

[2]) Nadmienić wypada, że istnieje obraz Kwiatkowskiego *Chopin na łożu śmierci*, przedstawiający zmarłego mistrza w otoczeniu jego siostry, księżny Marcelliny Czartoryskiéj, Grzymały, księdza Jełowickiego i samego malarza. O obrazie tym pisze dr. H. Dobrzycki w *Tygodniku illustrowanym* Nr. 7 i 8 z r. 1894 w artykule, p. t. *Kilka słów o portretach Chopina.*

[3]) Maska ta znajduje się dziś w *Muzeum Czartoryskich* w Krakówie.

Około południa, gdy ciało, już przybrane w strój odświętny, złożono do trumny, przyjaciele Chopina, jego wielbiciele, uczniowie i uczennice, wiedząc, jak lubił kwiaty, zwłaszcza fijołki, zaczęli przysyłać i znosić ich tyle, że niebawem cały salon, gdzie wystawiono zwłoki, zamienił się w jeden przewonny ogród [1]).

IV.

Gdy żałosna wieść o śmierci Chopina rozeszła się po Paryżu, zaraz wszystkie dzienniki pomieściły krótsze lub dłuższe artykuły o zmarłym. Jednym z pierwszych, co się rozpisał o nim, był głośny poeta i dziennikarz, Teofil Gautier, którego feljeton, poświęcony naszemu artyście, ukazał się w *La Presse* już w numerze z d. 22 października“. Zdaniem autora *Emaux et Camées* „świat muzykalny będzie opłakiwał w Chopinie nietylko jednego z trzech czy czterech najsławniejszych fortepianistów swojéj epoki, ale przedewszystkiém kompozytora“... Zdaniem Juliusza Janin, który o przedwcześnie zgasłym „Arielu fortepianu“ napisał piękny artykuł w *Journal des Débats*, był Chopin „jakby uosobieniem muzyki i natchnienia“. „Tylko ci, co go słyszeli, mogą mieć pojęcie o tym talencie, tak subtelnym i wytwornym, a tak urozmaiconym jednocześnie, talencie, który przemawiał do najszlachetniejszych i najserdeczniejszych stron duszy ludzkiéj“. Według p. Scudo z *L'Ordre* był Chopin ze wszystkich pianistów swego czasu „najszczerzéj oryginalnym“, to téż „z pomiędzy całéj masy kompozycyi fortepianowych, sfabrykowanych w ciągu lat 20-tu, jego dzieła są jedynemi może, które zostaną...“ Kronikarz dziennika *Le Constitutionel* podkréślił polskość utworów Chopina, co także uczyniły inne pisma... Trzymająca aż po dziś dzień prym pomiędzy czasopismami obrazkowemi *L'illustrion* ozdobiła pomieszczony przez siebie długi i dość dokładny życiorys Chopina pięknym portretem według medalu Bovy'ego. Kronikarz tygodnika *La Musique*, w długim lirycznym artykule w numerze z d. 21 października, tak pisał między innemi: „Biedny Chopin! Gdy go się widywało ostatniemi czasy, smutnego, bladego, wychudłego, zgarbionego, z zapadłemi oczyma, poprostu było się przerażonym...

---

[1]) Liszt, *Chopin*, 134. „Ponieważ wiadomo było, iż nadzwyczaj lubił kwiaty, więc nazajutrz przyniesiono ich tyle, że *dosłownie, łoże, na którem spoczywał, najzupełniéj pod niemi zginęło*“. Niecks, II, 351; Szulc, 145.

Ci, którzy go widzieli w poufném kółku, a przedewszystkiém ci, co go mieli sposobność słyszéć, jak z wzruszającém uczuciem, wezbraném miłością lub boleścią, grał swe żałosne melodye, o! tylko oni jedni wiedzą, ile był wart ten szlachetny charakter, ile w jego sercu było czułości, natchnienia i słodyczy. Słuchając go, było się wzruszonym, czuło się jakiś smutek, ogarniający duszę, i chciwie śledziło się grę tego przedziwnego pianisty, który z taką przejmującą prawdą umiał wyrażać wszelkie uczucia...“ *Revue et Gazette musicale de Paris* słusznie zauważyła w swém obszerném wspomnieniu pośmiertném, że „jeśliby królowa Mab zapragnęła mieć swego nadwornego fortepianistę, to niewątpliwie wybrałaby sobie Chopina; a trzebaby chyba owego boskiego pióra, które opisało fantastyczny korowód cudnéj bogini marzeń, żeby określić te kunsztowne i nieskończone zawikłania, te motywy, przeładowane drobnemi nutkami, a jednak, lekkie jak koronka, w których przejrzystą gazę zawsze spowijał swoje pomysły“. Do tego dziennikarskiego chóru, w mniéj lub więcéj wymownych słowach opiewającego zgon wielkiego muzyka, przyłączył się i słynny kompozytor, zwany francuzkim Wagnerem, Hector Berlioz, którego felieton o Chopinie, wydrukowany d. 27 października w *Journal des Débats*, był mistrzowską charakterystyką zmarłego, jako człowieka i muzyka. „Ileż to przejmujących wrażeń — czytamy tam między innemi — potrafił wywołać swą muzyką! W jakże namiętnych i rzewnych wrażeniach zwykle pogrążał swą duszę! Najczęściéj bywało to około północy: wtedy czuł się najswobodniejszym. Gdy się wyniosły wszystkie grube ryby salonowe, gdy już dawno wyczerpały się wszystkie bieżące kwestye polityczne, gdy już wszyscy plotkarze kończyli swoje obmowy i anegdoty o nieobecnych, gdy już omówiono wszystkie wiarołomstwa i podłostki bliższych lub dalszych znajomych, słowem, gdy wszyscy mieli dosyć zwykłéj życiowéj prozy, wówczas on, posłuszny niemej prośbie jakiéjś pary pięknych oczu o inteligentném spojrzeniu, podchodził do fortepianu, z chwilą zaś, gdy się dotknął klawiatury, odrazu stawał się poetą, śpiewającym o ossyanicznych miłościach swych wymarzonych bohaterów, o ich rycerskich hulankach, o ich tęskotach za oddaloną ojczyzną...“

Gdy tak pisały dzienniki, a trumna ze śmiertelnemi szczątkami Chopina, za specyalném pozwoleniem księdza Deguerry, spoczywała w podziemiach kościoła św. Magdaleny, komitet, złożony z najbliższych przyjaciół, uczniów i uczennic zgasłego mistrza, z Gavard'em (ojcem) na czele, krzątał się około przygotowań do uroczystego pogrzebu: obmyślano szczegóły programu, rozsyłano zaproszenia,

a przedewszystkiém czyniono starania, ażeby stało się zadość życzeniu nieboszczyka, mianowicie, by Mozartowskie *Requiem* mogło być odśpiewane podczas nabożeństwa. Z artystami nie było trudno: wszyscy bez wyjątku, zarówno śpiewacy i śpiewaczki opery włoskiéj, jak i członkowie orkiestry z konserwatoryum, przyrzekli swój współudział w téj żałobnéj uroczystości, gdyż wszyscy chcieli w ten sposób wyrazić swe uwielbienie dla wielkiego artysty; ale o mało co nie rozbiło się wszystko o opozycyę ze strony władz duchownych, które w żaden sposób nie chciały zgodzić się na to, by i kobiéty miały śpiewać w kościele. Na pierwszą prośbę w téj sprawie, J. E. arcybiskup Paryża oburzył się żywo, oświadczając stanowczo, że nigdy nie da przyzwolenia na coś podobnego. Ale przezwyciężono i tę trudność (w przeciwnym razie bowiem należałoby zrezygnować z wykonania arcydzieła Mozarta), człowiekiem zaś który głównie wpłynął na przełamanie uporu arcybiskupa, był ksiądz Deguerry, proboszcz kościoła św. Magdaleny, a Chopina gorący wielbiciel. Jemu miano do zawdzięczenia, że dwie najświetniejsze gwiazdy ówczesnéj opery, panie Castellane i Viardot-Garcia, mogły odśpiewać swe partye... Zaczęto odbywać próby, a że te wymagały pewnego czasu, więc pogrzeb naznaczono dopiero na wtorek 30 października... Na dwa dni przedtém, w niedzielę, podczas zwykłego nabożeństwa w kościele św. Magdaleny, ksiądz Deguerry wygłosił kazanie, w którém między innemi, w sposób, który wzruszył wszystkich, opowiedział o ostatnich chwilach Chopina, podnosząc jego wzniosłą chrześciańską rezygnacyę, z jaką umierał...

W końcu nadszedł dzień 30 października. Już od samego rana panował przed kościołem św. Magdaleny, na obszernym ogrodzonym placu przed grecką kolumnadą świątyni, nadzwyczaj ożywiony ruch, który po niejakim czasie zamienił się w jedno pstre i gwarne morze głów ludzkich, zalewające całą przestrzeń między domami. Nad głównem wejściem, po środku frontonu, z pod żałobnéj draperyi, na któréj obok różnych insygnii srebrzyły się wielkie litery F. C., zwieszała się czarna kotara, świadcząca, że ma się odbyć jakiś wielki niezwyczajny pogrzeb. Począwszy od godziny 11-éj, t. j. od chwili, gdy otwarto drzwi świątyni, do któréj wnętrza wpuszczano tylko za biletami, ze wszystkich stron zaczęło się zjeżdżać nieprzejrzane mnóstwo powozów i karet z uliberowanymi stangretami i lokajami na koźle (ekwipaże te następnie, czekając na osoby, co z nich wysiadły, wypełniły wszystkie okoliczne ulice).

Powiada E. Guinot, że „gdy się patrzyło na ten zewnętrzny przepych, panujący dokoła, na ten niezwykły napływ pojazdów i liberyi,

zwłaszcza zaś gdy się nie posiadało tego przywileju, który tylko wybranym umożliwiał wstęp do kościoła, nie było się bynajmniéj zdziwionym, gdy wśród gawiedzi, tłoczącéj się na placu przed głównem wejściem, dawały się słyszéć pytania: „Cóż to za wielkiego pana będą chowali?" W tych bowiem, co zajeżdżali przed bramę, a mieli zaproszenia, każdy z łatwością poznawał najwybitniejszych przedstawicieli paryskiéj arystokracyi, paryskiéj *haute finanse*, paryskich sfer artystycznych, nie wyłączając i wybitnych cudzoziemców.

Jakkolwiek takich uprzywilejowanych, co posiadali bilety wstępu, było około 3000 osób, to jednak i takich, którzy ich nie mieli, znalazł się cały legion. Ztąd niezadowolenie i szemrania, których echo nawet się odbiło na szpaltach dzienników. *La Réforme* np. pisała oburzona, że na pogrzebie „tego anioła fortepianu, któremu było na imię F. Chopin" nie mogła być, pomimo najszczerszych chęci, reprezentowaną. „I nie wiemy doprawdy, dlaczego? Tyle tylko, że jakiś niewiadomy komitet uznał widocznie naszą *Réformę* za dziennik za mało polski, ażeby jeden z jego współpracowników mógł sobie u niego zasłużyć na ten sam zaszczyt i tę samą grzeczność, co tylu innych reprezentantów prasy". To pominięcie wielu osobistości ze świata literacko-artystycznego, którym arystokratyczny komitet nie posłał zaproszeń, skarcił także E. Guinot w swoim feljetonie: „Wszystkie najdrobniejsze życzenia i zachcenia Chopina, nie wyłączając kaprysów z ostatnich dni, uwzględniono z iście religijnym pietyzmem. Pragnął Mozartowskiego *Requiem* na swym pogrzebie i wykonawczynie jego testamentu wspaniale zorganizowały tę uroczystość. Tylko na uroczystość tę, bądź to przez zapomnienie, bądź umyślnie, całkiem nie zaproszono większości przedstawicieli świata... muzycznego. Dzięki temu, wielu członków Instytutu, wielu sławnych artystów, wielu wybitnych pisarzów, nadaremnie próbowało, wbrew zakazowi, dostać się do środka, gdzie, jak się okazało, ogromną przewagę miały damy z arystokracyi. Niektóre przyjechały aż z Londynu, Wiednia i Berlina..."

W kościele tymczasem, po wybiciu godziny 11-éj, szybko zapełniały się wszystkie miejsca, zarówno na dole, w środkowych i bocznych nawach za kolumnami, jak i na galeryach, a rozglądając się wśród tego wytwornego zgromadzenia, było się skłonnym do podzielenia opinii Teofila Gautier, którego zdaniem „niektóre toalety damskie mieniły się tak jaskrawemi barwami, że aż raziły wśród największéj liczby strojów czarnych". Istotnie nie brakło

takich dam, które na ten pogrzeb wystroiły się, jak na koncert. Pozatém jednak, mówi Gautier, wszystko miało wygląd uroczysty, wszystko, nie wyłączając saméj natury, tak, iż nawet „złoty promień słońca, wpadający przez otwarte drzwi, mile się błąkał wśród żałobnéj atmosfery, panującéj wewnątrz świątyni". Wszystkie umysły były nastrojone poważnie, a nie brakło i takich oczów, które pod czarnemi welonami błyszczały łzami... Nie brakło ani jednego przyjaciela, ani jednego z gorących wielbicieli zmarłego. W tłumie przedstawicieli dyplomacyi, polityki, nauk, literatury i sztuk pięknych, widziano także i ambasadora angielskiego, lorda Normanby... Polacy-emigranci także byli bardzo licznie reprezentowani... Sam kościół, żałobnie udekorowany, przedstawiał odmienny, niż zazwyczaj, a imponujący widok. Pośrodku wznosiło się olbrzymie mauzoleum, obwieszone czarnemi, srebrem przetykanemi draperyami, z srebrnemi literami F. C. na całunie. Wewnątrz tego mauzoleum, w otoczeniu kwiatów, wieńców i świec w wysokich lichtarzach, stał katafalk, oczekujący na trumnę... Wielka, półokrągła nisza, znajdująca się za stopniami wielkiego ołtarza, była przesłonięta czarną kotarą, która, rozchylając się w środku, pozwalała widzieć orkiestrę i męzką część chórów... Kobiéty stały w ukryciu, niewidzialne. Dyrygować miał słynny kapelmistrz, Girard. Orkiestra umieściła się nie w zwykły sposób, t. j. na pochyłości wznoszącéj się od przodu ku tyłowi, lecz na równéj płaszczyznie posadzki, co trochę zdziwiło, a nawet zaniepokoiło fachowych muzyków, przejmując obawą, iż takie rozmieszczenie może głuszyć dźwięk instrumentów. Na szczęście, obawa okazała się płonną...

Tymczasem, punktualnie o godzinie 12-éj w południe, rozpoczęła się uroczystość. „W samo południe—powiada Teofil Gautier—posępni tragarze zjawili się we drzwiach świątyni, niosąc trumnę z ciałem wielkiego artysty." W téjże chwili z przeciwnéj strony kościoła odezwały się dźwięki orkiestry, zaczęły rozbrzmiewać głuche, ponure, przerażające akordy Chopinowskiego Marsza żałobnego, umyślnie w tym celu instrumentowanego przez Rebera [1]). Śmiertelny dreszcz przebiegł po całém zgromadzeniu, i nie było nikogo, coby się nie czuł przejętym i wzruszonym do szpiku

---

[1]) Meyerbeyer, choć mu wogóle wyznaczono bardzo zaszczytną rolę w ciągu téj uroczystości, ubolewał przed przyjaciółmi, w téj liczbie przed Karolem Gavardem, że nie jemu powierzono instrumentowanie tego niezrównanego dzieła, pozbawiając go tém samém możności złożenia podobną pracą hołdu pamięci zgasłego mistrza, którego mienił się być przyjacielem...

kości, jakiekolwiek światowe i obojętne myśli żywił był przed chwilą... Co do nas, powiada Gautier, to zdało się nam, że słońce pobladło, a złocone kopuły przybrały zielonawy odcień niepokoju... Instrumentacya, według świadectwa Oskara Commetant, okazała się szczęśliwie ułożoną i pełną poezyi (suave et heureusement menagée): „Wszyscy podziwiali wzruszającą prostotę partyi skrzypcowéj, brzmiącéj, jak żałosne łkania jakiéjś duszy zbolałéj i złamanéj“.. „Niepodobna było — zdaniem sprawozdawcy z *Le Pays* — w majestatyczniejszy sposób zagaić téj wspaniałéj uroczystości, ani jéj opatrzyć w szlachetniejszy wstęp do Mozartowskiego arcydzieła.“ Swoją drogą znaleźli się i tacy, którym się wydało, że sama instrumentacya była zbyt powściągliwą, że mogła być pełniejszą.

Skoro przebrzmiały tragiczne tony Chopinowskiej kompozycyi, a trumnę tymczasem ustawiono pod baldachimem, przyszła koléj na *Requiem*, które tém większe budziło zainteresowanie, że od roku 1840, gdy było wykonane podczas uroczystości przeniesienia prochów Napoleona do kościoła Inwalidów, nie słyszano go w Paryżu. Wiedziano nadto, że partye solowe mieli odśpiewać: sopranową pani Castelane, kontraltową pani Viardot-Garcia, tenorową Alexis Dupont, a basową Lablache. „Wobec takiego, jedynego i niedoścignionego kompletu śpiewaków, mających być wykonawcami téj boskiéj muzyki,” nie było dziwném, gdy na chwilę przed jéj rozpoczęciem, niewypowiedziana cisza zaległa nawę kościelną. W końcu zaczęło się wspaniałe *Dies irae*. Odśpiewali je na tle orkiestry i chórów Lablache i Dupont, oraz panie Castellane i Viardot-Garcia. „Wypowiedzieć — pisał sprawodawca z *Chronique musicale* — ile w téj kompozycyi brzmi rezygnacyi i uniesienia, skupionéj boleści i powagi, nie jest w ludzkiéj mocy. Cała chwalebna pokusa wyczerpałaby się na próżne wysiłki w celu oddania wrażeń, wywołanych muzyką, która chwyta i wiąże, niby jakaś nieznana magnetyczna siła; analizować to, czego się doznaje, nie umiałby nikt chyba: poprostu ustępuje się pod wpływem tego uroku, który czaruje i olśniewa tak, iż dajemy się unosić polotowi twórcy, polotowi, który go zbliża do nieba.”

Po *Dies irae*, odśpiewaném wśród natężonéj uwagi całego audytorium, zdało się wielu osobom, że znowu słyszą jakieś natchnione dzieło Mozarta. Złudzenia tego doznano wówczas, gdy organy— jak powiada *Le Pays* — z potęgą fal oceanu, przewalających się na piaszczystém wybrzeżu, zabrzmiały pierwszemi tonami jakiéjś muzyki, która odrazu zdała się tak uroczystą, tak podniosłą i szeroką, że nie wiedziało się, zali pochodziła z niebios, czy z ziemi.

„Tylko wielki mistrz mógł znać tajemnicę tych piorunowych dźwięków, co chwila zakłócających spokój tego jednolitego dzieła. Utwór ten, wykonany przez p. Lefebure, organistę przy kościele św. Magdaleny, był najpiękniéjszą mową pogrzebową, głoszącą sławę Chopina. Jest on istotnie własnością słynnego pianisty: były to dwa jego *Preludia*. Przyjaciel zmarłego, Franchomme, uważał je za tak potężne uczuciem, że je chciał ułożyć na wiolonczellę. Nadmienić wypada, że nigdy doskonalsze wykonanie nie nadało konkretnych kształtów cudniejszemu dziełu. Preludia te zagrane były zamiast *Offertorium* Mozarta.” Tyle *Le Pays*.

Zdaje się, że owe dwa *Preludia* Chopina, *H-mol* i *E-mol*, największe podczas całego nabożeństwa na słuchaczach uczyniły wrażenie: przynajmniéj wszyscy sprawozdawcy najobszerniéj rozpisali się o ich mistrzowskiém wykonaniu przez słynnego Lefebure-Vely. Oto, co o niém pisze np. Teofil Gautier: „W przerwach, przepisanych żałobną liturgią (*pendant les interruptions voulues par la liturgie de l'office des morts*), p. Lefebure-Vely wykonał na organach dwa utwory, a raczéj dwie żałosne skargi Chopina, między innemi jedno *Preludium*, które przed dwoma laty niespełna mieliśmy sposobność słyszéć wyłkane przez niego samego, na jego ostatnim koncercie w Paryżu. Te dwie Chopinowskie melodye, wykonane zresztą w przepiękny sposób przez słynnego organistę, odznaczają się taką głębokością tonu, tak przejmującą melancholią, że jeszcze spotęgowały wrażenie, wywołane nieśmiertelném dziełem Mozarta...”. Jeszcze entuzyastyczniéj rozpisał się o téj grze na organach sprawozdawca *Siècle'u*, Oskar Comettant. Według niego, „Lefebure-Vely potrafił uwydatnić w tych dwóch na fortepian napisanych *Preludiach* wszystko, co w nich zgadzało się ze stylem organów, przyczém *arpedżia*, niemożliwe do wykonania na ciężkim instrumencie kościelnym, zastąpił w sposób nadzwyczaj szczęśliwy przeciągłemi akordami. Podkréślimy szczególniéj wstrząsający efekt różnych kombinacyj dźwiękowych. Jest to poprostu gra głosów ludzkich, pomieszanych z brzmieniem obojów, szemrzących gdzieś w oddali jakiś śpiéw żałobny i pogrzebowy. W dźwiękach tych czuło się jakiś tragizm, poprostu osłupiały z przerażenia.“ Podobnie silne wrażenie zrobiła gra Lefebure-Vely'ego i na sprawozdawcy *z Revue et Gazette de Théâtre*, który, po komplementach dla orkiestry, pisał w te słowa: „Ale nic nie jest w stanie dać choćby przybliżonego nawet pojęcia o wrażeniu, jakie na wszystkich uczyniła kompozycya, odegrana bezpośrednio potém na organach: słuchając téj harmonii, tak szerokiéj, tak cudnéj i porywającéj mocą religijnego na-

tchnienia, było się przez chwilę zdolnym uwierzyć, że to z otwartych niebios dolatywały jakieś pienia anielskie...“ Z niemniejszym zachwytem pisał o téj części nabożeństwa dziennik *Le Pays*: „Żadne pióro, żadna mowa ludzka nie odtworzy nigdy tego wstrząsającego wrażenia, jakie w dniu onym uczyniły dwie melodye Chopina, przecudownie zagrane przez p. Lefebure... Słuchacze drżeli poprostu ze wzruszenia. Zdawało się, że to promienna dusza Chopina ulatywała w obłoku niebiańskiéj harmonii...“ Musiała jednak ta gra na organach być nad wszelki wyraz wspaniałą, kiedy nawet nieskłonny do zachwytów sprawozdawca radykalnego *L'assemblée nationale* [1]) nie wahał się przyznać, że Pan Lefebure-Vely, „zręczny organista przy kościele św. Magdaleny, odegrawszy dwa Preludia Chopina, dzięki dowcipnemu rozłożeniu różnych regestrów swego przepysznego instrumentu, potrafił utwory te zajmującemi uczynić, pomimo, że nikt by nie podejrzywał nawet, iż, ułożone na organy, mogą brzmieć tak efektownie“.

Z kolei wykonano *Agnus Dei*, a choć jest to jedna z najpodnioślejszych części *Requiem*, to jednak wszyscy godzili się na zdanie sprawozdawcy z *Le Pays*, iż nadzwyczajną piękność tego hymnu potęgowały jeszcze nieporównane głosy artystów: cała namiętność, którą płonęła dusza Mozarta, zdawała się przenikać piersi śpiewaków. „Niewątpliwie autor *Don Juana* rzucił promień swego geniuszu na tych nieporównanych wirtuozów; wszystko, co tylko sztuka może w sobie kryć wielkości i prawdziwéj potęgi, oni uwydatnili w swéj cudownéj interpretacyi.“ Szczególniéj Lablache zabłysnął w całéj swojéj wielkości. Gdy śpiéwał przepotężne *Tuba mirum spargens sonum*, które niegdyś wykonał także na pogrzebie Beethovena, „śpiew jego, pełen dramatycznéj ekspressyi, poprostu budził grozę, a potężny dźwięk jego nieporównanego głosu, w ciągu wykonania téj części *Requiem*, czynił wrażenie organów, ani na chwilę nie dając się zagłuszyć orkiestrze i innym głosom. I gdy całość zlewała się w ponurą harmonię, pełną jakiegoś niewysłowionego tragizmu rozpaczy, przepyszny bas Lablache'a, rozlegając się na tle tego żałobnego wtóru, brzmiał jak modlitwa konającego tytana ..[1]). Niemniéj wspaniale wyszły dwie następne części, śpiéwane na cztery głosy: najprzód pełne błagalnéj prośby *Recordare Jezu pie*, a następnie słodkie i spokojne *Benedictus qui venit*. Odśpiewano je z takiém mistrzowstwem, że — jak się wyraził paryski korespondent z *The Daily News* — żadne słowo nie jest zdolne oddać tego podniosłego wrażenia, jakiego doznawali obecni. Dopiéro tego dnia, po raz pierwszy może, zrozumiano, co to jest *Requiem* Mozarta!... Jego natchnione melodye są jakby żałosnemi wynurzeniami duszy, która już prawie nie jest z tego świata, tak czuje się bliską tych zagadkowych sfer, do których droga prowadzi przez świeżo wykopany grób... Komponując to *Requiem*, Mozart czuł, że je pisze dla siebie... „*De profundis*, odśpiewane w całéj czystości swego rzymskiego stylu tak, jak je niegdyś musiano śpiewać za dobrych czasów kaplicy sykstyńskiéj, było wysłuchane w pobożném skupieniu, z uczuciem jakiéjś tajemniczéj grozy. Cóż to za rozdziérający krzyk zbolałego serca! Ileż naiwnego przyznania się do ludzkiéj słabości, a więc uznania swéj niemocy, wyczuwa się z téj pokornéj prośby istoty śmiertelnéj, istoty, która wzdrygając się przed swą nicością, błagalnie wyciąga ręce ku Bogu miłosierdzia! Ile prostoty, a zarazem ile prawdziwego uczucia religijnego i łez znajduje się w tym hymnie zwątpienia!... Alexis Dupout, któremu tu przypadła partya solowa, okazał się, jako nawskroś uczuciowy artysta, godnym tłómaczem wielkich scen ewangelicznych; to téż tryumf, jaki w dniu tym osiągnął, należał — zdaniem jednego ze sprawozdawców — do najświetniejszych i najbardziéj zasłużonych w ciągu jego artystycznéj karyery! [2]). Wielka fuga wokalna, którą się zaczyna i kończy *Requiem*, była pełną majestatycznéj wielkości [3]). Powiada Teofil Gautier, że niepodobna wyrazić uczuć, jakich się doznawało, słucha-

[1]) Bezimienny sprawozdawca dziennika *L'assemblée nationale*, jakiś śledziennik, którego nic zadowolić nie mogło, okazał się jedynym, który części muzycznéj tego nabożeństwa miał to i owo do zarzucenia: w wykonaniu Mozartowskiego *Requiem*, chóry nie były, jego zdaniem, dość liczne i dlatego brzmiały niedość silnie. „Malgré les teintures derrière lesquelles étaient placés les exécutants, l'extrême sonorité de l'église a quelquefois produit de la confusion...“ Na tę zbytnią akustyczność kościoła zwrócił także uwagę korespondent londyńskich *The Daily News*. „The semicircular space behind the steps of the altar was creened by a drapery of black cloth, which being festooned towards the middle, gave a partial view of the vocal and instrumental orchestra, disposed, not in the usual form of a gradual ascent from the front to the back, but all on the level of the floor, an unusual arrangement which at first surprised and disappointed me, as I feared its effect in deadening the sound; byt it turned out to be advantageous, as it lessened the echo or reverberation created by the gread sonority of the building, which, after all, was occasionally felt in laud and rapid passages“.

[1]) Liszt w swéj książce o Chopinie utrzymuje, iż Lablache'owi akompaniował Meyerbeyer.

[2]) W sprawozdaniu dziennika *Le Pays*.

[3]) The Daily News.

jąc tego eposu przedśmiertnéj trwogi (*épopée des affres du trépas*), tych wszystkich boleści, udręczeń i tęsknot śmiertelnéj istoty, odchodzącéj do nieznanego świata. Dusza Mozarta, zmarłego zaledwie w 38 roku życia, zdawała się krążyć ponad głowami tłumu i płakać nad młodą duszą, w któréj poznawała swą siostrzycę, i opowiadać nam poemat o swych długich cierpieniach.“ Zdaniem kronikarza z *Revue et Gazette de Théâtre*, dawno już arcydzieło twórcy *Jowisza* nie było słyszane w okolicznościach równie uroczystych. „To téż nigdy może nie było lepiéj odczute i lepiéj wykonane.”

Podczas *Offertorium* wystąpili księża, a gdy potém, po skończonéj Mszy, zaczęto się krzątać około zdjęcia trumny, Lefebure-Vely tymczasem, fantazyując na różne Chopinowskie tematy, raz jeszcze wywołał niesłychane wzruszenie wśród zgromadzonych czcicieli mistrza: to téż, gdy z góry płynęły poważne dźwięki organów, w dole, pomiędzy tłumem, dały się słyszéć „głośne łkania”. Jednocześnie zaczęto się cisnąć ku wyjściom...

Gdy wreszcie trumna znalazła się za szybami francuskiego karawanu, całkiem przykryta wieńcami z świeżych kwiatów, ruszono z przed kościoła. Na czele orszaku postępowali: sędziwy książę Adam Czartoryski i Meyerbeyer, jako przedstawiciel sfer muzycznych [1]). Przy karawanie, trzymając końce całunu, kroczyli najserdeczniejsi przyjaciele zmarłego: Franchomme, Gutmann, Delacroix i Aleksander Czartoryski (mąż księżnéj Marcelliny). Za karawanem szli Jędrzejewiczowie i liczne grono przyjaciół i uczennic, oraz wszyscy wybitniejsi muzycy paryscy (*tout l'état-major de virtuoses de Paris*), nie mówiąc już o polakach, która, jak jeden mąż, stawiła się na ten pogrzeb. Nie brakło téż i wychodźców włoskich i węgierskich. Za tym tłumem pieszych, wśród którego najwięcéj słyszało się polskiéj mowy, ciągnął się nieskończony sznur powozów i karet, prywatnych i żałobnych, t. z. *voitures de deuil*. Przeciągnąwszy przez wielkie bulwary, kondukt zwrócił się ku cmentarzowi *Père Lachaise*, wrażenie zaś, jakie czynił na tych, co w nim uczestniczyli, było niezmiernie głębokie

[1]) Tak utrzymuje Liszt. Natomiast pani Audley—w swéj książce o Chopinie — wymienia Meyerbeyera na miejscu Gutmanna. Teofil Gautier w fejletonie *La presse* z d. 5 listopada 1849 pisze, że końce całunu trzymali: Meyerbeyer, Delacroix, Franchomme i Pleyel. Według *Gazette musicale* czynili to: Franchomme, Delacroix, Meyerbeyer i Czartoryski (Aleksander).

C'était une royauté qui s'en va, wyraził się jeden z publicystów francuskich [1]).

W końcu zatrzymano się nad świéżo wykopanym grobem w jednéj z mniéj dostępnych alei cmentarza, w sąsiedztwie nagrobków Cherubiniego, Belliniego, Boildieu, Paëra, Kreutzera i rodziny Erardów. Po modlitwach księży, po bolesném *Re uiescat in pace*, wysypano na spuszczoną już do dołu trumnę garść z iemi (tę samą, którą przed dwudziestu laty wyjeżdżającemu z Warszawy Chopinowi ofiarowali w srebrnéj czarze żegnający się z nim przyjaciele), zaczém posypały się na nią grudki mogilnego piasku i kwiaty. Choć dookoła cisnął się olbrzymi tłum ludzi, dziwnie żałobnie czerniejący na tle jesiennego krajobrazu, było tak cicho, jak w kościele podczas podniesienia. Co najwyżéj wiatr szeleścił pomiędzy drzewami, strącając z nich resztę pożółkłych liści... Wśród podobnéj ciszy, któréj nie zakłóciła żadna patetyczna mowa pogrzebowa, rozpoczęła się smutna czynność grabarzy...

. . . . . .
. . . . . .

Wkrótce po śmierci Chopina, z inicyatywy Kamila Pleyela, utworzył się komitet pod przewodnictwem malarza Delacroix, w celu wzniesienia pomnika na miejscu wiecznego spoczynku zgasłego mistrza. Zaczęto zbierać składki, a kiedy po bardzo niedługim czasie udało się zebrać wystarczający fundusz, zwrócono się do rzeźbiarza Clesingera, ażeby wykonał odpowiedni monument.

W pierwszą rocznicę śmierci mistrza, d. 17 października 1850 roku, pomnik dłuta Clesingera, już ukończony całkowicie, został odsłonięty i poświęcony. Dnia tego przed południem, liczne grono

[1]) Mimowoli nasuwa się pytanie: czy pani Sand wzięła udział w tym pogrzebie? Rzecz dziwna, nikt nie zwrócił uwagi na jéj obecność czy niebytność, tak, iż pytanie to musi pozostać bez odpowiedzi. Może się takowa znajdzie w którym z niezliczonych listów autorki *Lukrecyi Floriani*.

Oto krótki ale żywy opis pogrzebu Chopina, wyjęty z *Gazette musicale*: „Un grand nombre de voitures de deuil et de voitures particulières ont suivi jusqu'au cimètière de l'Est, dit du Père Lachaise, le pompeux corbillard qui portait le corps du défunt. L'élite des artistes de Paris lui à servit de cortège. Plusieurs dames, ses élèves, en grand deuil, ont suivi le convoi, à pied, jusqu'au champ de repos, où l'artiste éminent, convaincu, a eu pour oraisons funèbres des regrets muets, profondement sentis, qui valent mieux que des discours, dans lesquels perce toujours une vanité d'auteur ou d'orateur.“

przyjaciół i uczniów genialnego kompozytora, zgromadziwszy się w małéj kaplicy na cmentarzu Père Lachaise, udało się pod przewodem księdza, po uprzedniém wysłuchaniu cichéj Mszy, na grób Chopina, w celu odsłonięcia pięknéj kompozycyi Clesingera. Kiedy opadła zasłona, na pomnik posypały się kwiaty i wieńce, a wreszcie, po wspólnie odmówionéj modlitwie, deputowany Franciszek Wołowski wystąpił z mową, ale był tak wzruszony, iż musiał poprzestać na wypowiedzeniu kilku słów zaledwie... [1]).

Sam pomnik, wykuty z perłowego marmuru, a otoczony gustownemi sztachetami z kutego żelaza, o ile nie jest zbyt wielkim, o tyle udał się swemu twórcy. Całość nacechowana jakimś rzewnym liryzmem, gdyby ją przetłómaczyć na język poezyi, stałaby się smutną elegią na śmierć Chopina...

Na kwadratowym cokule, bardzo szlachetnym, jakkolwiek prostym w liniach, siedzi Muza, pochylona, zapłakana, wsparta na złamanéj lirze. W przedniéj ścianie podstawy, na któréj także znajduje się wyryty napis *A Fred. Chopin ses amis*, bieli się alabastrowy medalion z subtelnym profilem mistrza... [2]).

Ferdynand Hoesick.

---

[1]) Tak opisuje uroczystość tę korespondent paryski pisma angielskiego *John Bull*, w numerze z d. 26 października 1850 roku. W *Gasette musicale* z d. 20 października 1850 r. czytamy o téj ceremonii, co następuje: „Une messe commémorative a été dite jeudi dernier (17 oct.) dans la chapelle du cimétière du Père Lachaise à la memoire de Frédéric Chopin et pour l'inauguration de son monument funèbre."

[2]) Z boku, na prawéj ścianie pomnika, znajduje się następujący napis, podkréślający polskość Chopina: Frédéric Chopin, né à Żelazowa Wola près de Varsovie. Fils d'un émigré français, marié a M-elle Krzyżanowska, fille d'un gentilhomme polonais.

Szkic pomnika Chopina zrobił Clesinger jeszcze za życia artysty, na parę dni przed jego śmiercią. Oto, co w téj mierze pisał niejaki A. H. w czasopiśmie *L'artiste*, w numerze z dnia 1 listopada 1849 r. (a więc nazajutrz po pogrzebie Chopina): „Bądąc świadkiem téj powolnéj i budującéj agonii ludzkiego geniuszu, który już widzi niebo, a jednak mimo to, wyrywa się do ziemi, Clesinger, opuściwszy Chopina, udał się do swéj pracowni, ażeby tam stworzyć pomnik, godny takiego przyjaciela. Jakoż duch Chopina był przy nim, gdy rozgorączkowanemi rękoma zaczął lepić figurę ze złamaną lirą w ręku. Jest to śpiew konającego łabędzia, jest to dusza śpiewaka *Preludiów*, nachylająca się ku grobowi, téj ponuréj drodze do nieba. Wystarczył mu jeden dzień, ażeby zacząć i skończyć tę figurę. Jako dzieło sztuki, jest to rzecz pełna prostoty, smutku i szlachetności, a piękna w pomyśle, odznacza się prawdziwą wielkością".

NA SZCZYCIE.

FRAGMENT Z POEMATU.

Młodzieniec.

Wkoło złomy granitów dzikie i olbrzymie,
Podemną gdzieś jeziora, a tam niżéj, niżéj
Świat, życie, nędza ludzka, tłumy nieszczęśliwych
I garstka panów świata, i tych zagrożonych
Tysiącem niebezpieczeństw, cierpień, nędz i bólów!
Nad wszystkiém jest cierpienie... O! gdybym z téj góry
Sięgnąwszy ręką, schwycić mógł kołowrót świata
I bieg mu zmienić, ażby jedna pieśń olbrzymia,
Jedna pieśń szczęścia, w niebo runęła i gwiazdy
Zdumiała, jakby nagle ziemia, czerwonemi
Wybuchając ogniami, między nie wybiegła
Szalona i podobna do racy puszczonéj
Między ciche łabędzie na spokojnéj wodzie...
O pieśni! pieśni szczęścia! Czyż nigdy nie zabrzmisz?
Czy nigdy tryumfalny twój głos się nie wmiesza
Do cudownéj melodyi wichrów, mórz i lasów?
Czy nigdy ludzkie oczy nie będą, jak kwiaty
Uśmiechnięte ku słońcu? Nigdy ludzkie piersi,
Jak łąki, co oparem oddychają złotym
O świcie w dzień wiosenny? Nigdy ludzkie myśli
Nie będą jak obłoki swobodnie płynące,
Zanurzone w topieli błękitu i światła?
I nigdy dusza ludzka nie będzie jak słońce
Promienna i gorąca, jedném tylko czuciem

Przejęta, aby ciepło rozrzucać i świecić?
Nigdy?... I wieczny, wieczny będzie rozdźwięk w świecie
Między tém, co śni człowiek, i tém, co snem nie jest?...
Tak! Tysiące już ludzi zło życia wskazało,
Tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach,
Nigdy jednak nikt Dobra i Szczęścia nie stworzył!
Cóż, choć nam filozofia i poezya cały
Bezmiar, całą głąb złego przed oczy postawi,
Pokaże całą nędzę ludzkiego żywota,
Całą niemoc człowieczéj samoistnéj woli,
Całą jego zawisłość od Woli Tajemnéj
I wszystkich jego pragnień źródła, i maszynę
Wszystkich jego postępków, uczynków i myśli
Na najdrobniejsze cząstki składowe rozbierze?
Czyż przez to ludzkość będzie szczęśliwszą? zło mniejszém?..
Są, którzy ukochali ludzkość: czyż nie widzą,
Że ta miłość jest niczém?.. Najstraszliwsze z uczuć,
Najstraszliwsze, najgorsze, najsroższe uczucie
Niemocy woli ludzkiéj, bezsilności ludzkiéj
Wobec Woli Tajemnéj i Jéj głuchéj Siły!
Czém jest życie ludzkości? Od tysięcy wieków
Patrzeniem wciąż w zwierciadło jedno i to samo
I ciekawém śledzeniem w tém jedném odbiciu
Coraz nowych wyrazów bólu i rozpaczy.
O góry! O jeziora, które tutaj widać!
Jak jesteście szczęśliwe wy, co nie możecie
Nic czuć, nic myśléć, nic chciéć!... Jesteście bezwładne
Jak my, lecz bezwładności swojéj nieświadome:
I to jest szczęście wasze!.. O! Cóżbym dał za to,
Gdybym mógł, jak wy, nie mieć wiedzy mojéj doli!
Wietrzeje granit szczytów, piorun go rozbija,
Od lawin głazów zwolna znikają jeziora,
Ale nie *wiedzą* o tém. Tak ziemia się cała
Od swoich pierwopłodów, od praepok swoich
Rozwija bezświadomie, naprzód ciągle dąży,
Bez pamięci, co przeszło, bez troski, co będzie,
Nie obarczona gorzkim ciężarem doświadczeń.
A my, bogaci przodków naszych doświadczeniem,
Wiemy, że nas nie czeka nic, prócz tego tylko,
Co było — i bogactwo to jest straszną nędzą,
Jest Strachem, który pęta ramiona Odwadze.

Przed niedolą rozwagi, przed niedolą wiedzy
Dwie są tylko ucieczki: szał i wyobraźnia.
Kiedy kobiétę, ciało, nazywam aniołem,
Gdy dla idei życie poświęcam bez żalu,
Kiedy mię twórcza władza w za światy uniesie,
W nigdzie nie istniejące idealne światy,
Gdy stracę pamięć: wtedy mogę być szczęśliwy.
Lecz jest to abdykacya Ducha — który przecież
Jest we mnie czémś najwyższém—zaprzeczenie Myśli,
Najszlachetniejszéj cząstce mojego istnienia —
Gdyby wznieść się tak Myślą, ażby po nad wszystkiém
Zawisnąć, niedostępnym niczemu, co ziemskie,
Być czystą myślą... Przebóg! Co za widmo wstało
Z czarnéj czeluści skalnéj?! Okiem jak sztyletem
Przebija mnie i krew mi swym uśmiechem ścina,
Swym okropnym uśmiechem!... Ktoś ty jest?!...

Widmo.

Ironia...

Młodzieniec.

Znam cię, o znam cię, widmo! Ty z pierwszym promieniem
Słońca przychodzisz rano, w południowym dzwonie
Ty dźwięczysz ponademną, ty o zmroku we mgłach
Wieczornych nad mą głową zawisasz w przestworze,
Ty z nocnych cieniów i z gwiazd wychylasz się ku mnie.
Znam cię!.. Niegdyś alpejski ów samotnik, władca
Duchów elementarnych, słyszał po nad sobą
Rzuconą klątwę życia za zbrodnię spełnioną,
Lecz jakaż moja zbrodnia? Jedna chyba tylko:
Wątpienie... Tak zaiste, pierwszym fundamentem,
Pierwszą podstawą dzieła wiara w jego koniec.
Tylko kto ślepo wierzy potrafi iść naprzód,
Zwycięży, albo padnie, ale z raną w piersiach,
Jak rycerz... Żyć to tworzyć, a tworzyć to wierzyć..
Nie wierzyć, wątpić: lepiéj znicestwieć i przepaść!..

Głos.

Płynę cichy i świetlany
Przez przestrzenie nieskończone,

Przez wieczności oceany,
W nadświatową płynę dal;
W gwiazd otchłanie, w mgieł oponę
Patrzę jasnym, świetnym wzrokiem,
Widzę światła, co potokiem
W bezmiar rwą się z pramgły fal.

Przy mnie ziemie się rodziły
Ze słońc swoich pryskające;
Widzę ciche ich mogiły
Jak szybują ścięte w lód
I padają znów na słońce:
Giną, aby wstać z kolei,
Wstają, aby w lat zawiei
Zginąć, jak powstały wprzód.

Wieczny ruch, przemianę bytu,
Wieczną śmierć i życie wieczne
Widzę, płynąc wskroś błękitu
Przez bezdenie pustych sfer;
Bryły toczą się słoneczne
Grzmiąc i hucząc na przestworza,
Szumią lotnych mgławic morza,
Brzmią miliardy świetlnych skier.

W ponadziemskich gędźb tych toni
Płynę cichy, niewidzialny,
U stóp moich czas się kłoni
I z gwiazd gwiazdy tworzą się...
Gdzie wszechmocny, tryumfalny
Ruch Istnienia koło toczy:
W sfer głębinie mknąc przezroczéj
Cicho, słodko, bosko śnię...

Młodzieniec.

O dziwny głosie, jak gdyby w méj duszy
Słyszany własnéj, a razem w przestworze
Płynący kędyś... Dziwny słodki śpiewie!
Świetlana struno przestrzennego światła!
Brzmisz tam nademną, jednak mi się zdaje,

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA 185

Jakobyś wespół brzmiał w méj własnéj duszy...
Dusza człowieka! Czyli nie jest ona
Częścią wszechduszy świata oderwaną
I w część zamkniętą wszechmateryi świata?
Lecz czemuż, czemuż, ah! czemuż tak bardzo,
Tak strasznie więzom materyi podległą?!...
Ciszy! Przestrzeni! światło! o ty święta
Ojczyzno ducha! Wszystkiemu odjęty,
W was on jest taki, jak wy, czysty, święty!
W was, kiedy skrzydła związane rozpęta,
Tęcze z nich biją i płomienne łuny,
Usta są jego, jak wichrowe struny,
Oczy, jak gwiazdy, serce, jak kwiat z pola,
Ramiona jego są jako pioruny,
Jak oceanu przypływ — jego wola!
Wtenczas on stwarza Piękno, Dobro świata,
Zło, wstręt, brzydotę skrzydłem jak pył zmiata,
Leci, jak anioł pokoju po ziemi,
Jak anioł szczęścia ku ludzkości zlata,
Rany jéj koi ustami własnemi,
Własnego serca darzy ją pokojem,
Krew jéj oczyszcza własnéj krwi swéj zdrojem,
Jest dla niéj chlebem i różdżką oliwy...
I gdyby przez swą boleść i męczeństwo
Mógł wieczne kupić jéj błogosławieństwo,
Wieczną szczęśliwość: umarłby szczęśliwy...
Lecz owa klątwa, co się ciałem zowie,
To pęto ducha, to upokorzenie,
Budzi go ze snów, jak orła, co ranny
Śnił, że ma słońca purpurę na głowie,
Pod skrzydłem wichry, pod piersią bezdenie,
I gdzieś w błotnistym ocknął się parowie...
O wieczny ducha ból! ból nieustanny!
Napróżno!... Niema mocy zwyciężenia,
Niema zwycięztwa nad zmysłów przemocą...
Napróżno!... Skrzydła, co się tu szamocą,
Do śmierci łańcuch ziemski opierścienia.
Ciszy! Przestrzeni! Światło! O ty święta
Trójco méj duszy! Do ciebie ramiona
Wznoszę bolesne... Otom jak w pustyni:
Wiatr na pierś piasku mi rzuca brzemiona,

Nogi me tuman rozżarzony pęta,
Strach w kość mi wchodzi, w oczach noc się czyni...
Co jest przed światem? Co jest przed człowiekiem?
Co jest przed duchem?... Milczenie! Milczenie!
W uszach mych huczy rwący wiek za wiekiem...
Pędzą... Przelata cała ludzka fala,
Przelata całe odwieczne Istnienie...
Jak się lawina głazów w przepaść zwala
Z skalnego zrębu: tak wieki się toczą
Z hukiem i grzmotem, i giną w Bezdeni,
A po nad ziemią niebo lśni przezroczo
I słońce wiecznie jasno się płomieni...
Słowa, oh słowa. Słowa rozwiązania
Zagadki bytu, cierpień tajemnicy!
Pociechy w chwili szału i konania!...
Chryste! Na górę wchodzisz mi olbrzymią!
Pod nią się morza kotłują i dymią,
Wąż ją opasał światłem błyskawicy...
Chryste! Dlaczego masz tę twarz straszliwą?
Włosy, jak z miedzi? oczy jak ze grzmotów?
Dlaczego ręką wstrząsasz, jak lew grzywą?
Dlaczego usta Twe pełne milczenia
Gorszego, niźli pożarnych łoskotów?
Dlaczego milczysz?! Na górze z płomienia
Dlaczego milczysz?!... Chryste! Chryste! Chryste!
Przez męki świata i bóle wieczyste,
Przemów!... Posągu olbrzymi na stropie!
Straszna Swiatłości w błyskawic potopie!
Straszna Białości na nieba błękitach!
Straszliwa Głuszo wśród jęków i zgrzytów!
Straszliwa Góro na chmurach i szczytach!
Straszna Kolumno wśród wieków i bytów!
Chryste! Patrz! Niezmiar, ogrom Twéj Miłości
Jest czémś nadludzkiém tak i niepojętém,
Że co być miało Żywotem ludzkości,
Staje się trwogą, otchłanią i wstrętem...
Nie mogąc zdążyć za Tobą, upada!
Z pod nieba w piekieł upada płomienie,
A Ty jéj nikniesz i odchodzisz z oczu,
I gdzieś w błękitném, dalekiém przezroczu
Postać się Twoja ukazuje blada

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA
FRYDERYKA CHOPINA
185.

sh 193-234

d Hoesick

Schyfels Życie i sztuka Chopina

